

JEAN PAUL SARTRE

MUCHY

Nie ma chyba w literaturze światowej utworu, który by w sposób równie zdecydowany jak «Muchy» Jean Paula Sartre'a stanowił biegunowe przeciwieństwo najistotniejszych dla nas problemów. Czy miałby być z tego względu przemilczany? «Muchy» powinny być grane. Właśnie «Muchy», w zestawieniu z którymi wszystko to, co napisał Anouilh czy Giraudoux czy Thornton Wilder, wydaje się idyllą i bez troską igraszką. «Les Mouches» — muchy które obsiadły krew zalewającą miasto Argos od chwili zamordowania Agamemnona. Całe ich chmary wpijają się w ludzi, wczepiają się im w powieki — a ludzie mogą to znieść tylko dlatego, że przesładuje ich wspomnienie krwawego czynu Klitajmestry i Ajgistosa. Wspomnienie to napawa ich przy tym nieustanną rozkoszą pokuty — więc strzegą je w sobie pomimo jego siły destrukcyjnej. Orestes, który zjawia się w mieście, zabija matkę i gacha, bierze na siebie morderczy czyn uwodząc za sobą, jako zbawiciel i „zaklinacz szczyrów“, świszczące i bzykające chmary much i Eryni.

Ale jakież to słowa padają w tej piekielnej symfonii wołającej o krew? Jedna z Eryni krzyczy: „Patrzcie jak mu się oczy powiększyły, niedługo nerwy jego będą grały jak struny harfy w arpeggiach przerażenia“. Orestes zaś mówi: „Skazany już jestem na to, aby nie uznawać innego prawa niż własne...“, a w innym miejscu: „Nie jestem ani panem ani niewolnikiem swojej wolności. Ja jestem swoją wolnością“. Dzieło buntu czy rezygnacji, próby czy nakazu? Sztuka ta jest wszystkim. Jest sztuką przeciwko Goethemu i przeciwko Gerhartowi Hauptmannowi, przeciwko Tolstojowi i przeciwko Marksowi. Jest wszystkim w tym wrzącym i kłębiącym się chaosie wypowiedzi, jakim zabrzmią, jak przeraźliwym dysonansem, raz jeszcze ostatnie słowa Orestesa: „Patrzycie na mnie, mieszkańcy Argos, i widzicie, że tym razem moja zbrodnia jest naprawdę moją zbrodnią. Upominam się o nią głośno, patrząc w słońce, ona jest moją dumą i moją racją istnienia, a wy nie możecie mnie ani ukarać, ani żałować, i dlatego tak się boicie... Nie bójcie się waszych zmarłych, oni są już moimi zmarłymi. Widzicie, nawet wasze wierne muchy opuściły was i mnie opadły“.

A więc sztuka również przeciwko Hitlerowi? Ta właśnie sprawa jest przerażająca: utwór ten, utwór z okresu działalności francuskiego ruchu oporu, utwór napisany przez odważnego Jean Paula Sartre'a, odczytać można równocześnie — znajdując setki cytatów — jako bunt przeciwko wszelkiej przemocy i jako jej usankcjonowanie, jako protest przeciwko przelewowi krwi i jako ubieganie się o niego. Dzieło w równym stopniu wspaniałe co okrutne, dzieło rozkładu i upadku. Ale dzieło znamienne — i dlatego należy je grać. Nigdy nie będziemy znali rozkładowych możliwości tkwiących w dramaturgii rozczarowującej, jeżeli nie będziemy znali tego dramatu. Dopiero po zmierzeniu się z taką tch. brzością, teatr nasz będzie mógł nabrać nowych sił. Musi przejść tę chorobę, by ozdrowieć; musi przyswoić sobie doświadczenia obce, by dojść do wła-

snych. Na tym niechaj polega „ruch oporu” naszych scen — by spojrzeć w przerażającą twarz takich utworów, przewyciężyć strach i z niszczącego działania wydobyć siłę.

Herbert Ihering
(Berliner Dramaturgie, 1948)

O S O B Y:

JUPITER
ORESTES
AJGISTOS
PEDAGOG
PIERWSZY STRAŻNIK
DRUGI STRAŻNIK
ARCYKAPŁAN
ELEKTRA
KLITAJMESTRA
PIERWSZA ERYNIA
MŁODA KOBIETA
STARA KOBIETA
IDIOTA
LUDZIE Z TLUMU
ERYNIE
SŁUŻBA
STRAŻ PALACOWA

AKT PIERWSZY

*Plac w Argos. Posąg Jupitera, boga much i śmierci.
Białe oczy, twarz pomazana krwią.*

Scena I

Stare, czarno ubrane kobiety wchodzą w procesji i odprawiają przed posągiem libacje. Na ziemi, w głębi sceny siedzi Idiota. Wchodzą Orestes i Pedagog, później Jupiter.

ORESTES Hej tam, kobiety!

(odwracają się wydając głuchy okrzyk)

PEDAGOG Czy możecie nam powiedzieć?...

(kobiety pluja przed siebie i cofają się o krok)

PEDAGOG Posłuchajcie nas przecie. Jesteśmy zbłąkani podróżni. Pytam was tylko o drogę.

(kobiety uciekają wypuszczając z rąk urny)

PEDAGOG A to ropuchy! Myślałby kto, że na ich cnotę nastaje. Cóż, mój panie, wesoła podróż, prawda? Miałeś doprawdy wspaniały pomysł, aby tu skierować swoje kroki, skoro jest pięćset innych stolic, tak w Grecji jak we Włoszech, gdzie i wino dobre, i ulice gwarne, i oberże gościnne. Ci górale nigdy widać nie oglądali turystów: sto razy pytałem o drogę w tej przeklętej, smażącej się w słońcu mieścinie. Zawsze ten sam okrzyk przeobrażenia i ucieczka, w oślepiających uliczkach ciężki tupot czarny. Fui!

Te puste ulice, to rozedrgane powietrze, to słońce... Czy może być coś bardziej ponurego niż słońce?

ORESTES Urodziłem się tu...

PEDAGOG Podobno. Ale nie wiem, czy jest się czym chwalić.

ORESTES Urodziłem się tu, a o drogę pytam jak przechodzić. Zastukaj do tych drzwi.

PEDAGOG Czego się spodziewasz? Że ktoś się odezwie? Przypatrz no się tym domom! Widziałeś kiedy podobne? Gdzie one podziły swoje okna? Otwierają je pewnie na ciemne, zatęchłe podwórka, na ulicę wystawiając tylko głuche zady. (*Orestes robi gest zniecierpliwienia*) Dobrze, już dobrze. Zastukam, choć to doprawdy bez sensu.

(*stuka. Cisza. Stuka jeszcze raz, drzwi się uchylają*)

GŁOS Czego?

PEDAGOG Mała prośba. Czy może wiesz, gdzie mieszka...

(*drzwi zatrząskują się gwałtownie*)

PEDAGOG Do diabła z tym! No co, jesteś zadowolony? Starczy tego? Jak nie, mogę stukać do wszystkich drzwi po kolei.

ORESTES Zostaw.

PEDAGOG Zaraz — ktoś tu jednak jest. (*podchodzi do Idioty*) Jaśnie Wielmożny...

IDIOTA He!

PEDAGOG Jaśnie Wielmożny Panie!

IDIOTA He!

PEDAGOG Czy byłbyś łaskaw wskazać nam pałac Ajgista...

IDIOTA He!

PEDAGOG Ajgista, króla Argos.

IDIOTA He, he!

(*w głębi sceny przechodzi Jupiter*)

PEDAGOG To doprawdy pech. Jak już ktoś nie ucieka, to wariat. (*znów w głębi przechodzi Jupiter*) A to niezwykła historia! Popatrz! Przyszedł za nami aż tu.

ORESTES Kto?

PEDAGOG Brodacz.

ORESTES E, opowiadasz.

PEDAGOG Przed chwilą mi właśnie mignął.

ORESTES Przewidziało ci się.

PEDAGOG Wykluczone. W życiu nie widziałem takiej brody. Chociaż nie, raz jeden, ale tamta była z brązu, ozdabiała twarz Jupitera Ahenobarbusa w Palermo. Patrz, znów przechodzi. Czego on może chcieć?

ORESTES Podróżuje jak i my.

PEDAGOG Taak, podróżuje... Spotkaliśmy go w drodze do Delf. Gdy wypływaliśmy z Iteli, też brodę na statku rozkładał. W Nauplii kroku nie można było zrobić bez niego, a teraz przyszedł i tu. Myślisz, że to tylko zbieg okoliczności? (*ręką odpędza muchy*) Muchy są tu, zdaje się, bardziej gościnne niż mieszkańcy. Popatrz no, popatrz! (*pokazuje na oko Idioty*) Ze dwanaście ich oblaźło oko, jak kawałek sera, a on śmieje się radośnie, jakby znajdował w tym przyjemność. Patrz, wypływa z nich jakaś biała ropa, podobna do zwarzonego mleka. (*odpędza muchy*) Dosyć tego, a sio! Masz tobie, teraz do ciebie przypadły. (*odpędza je*) No, widzisz, jak to przyjemnie. Tak się skarżyłeś, że czujesz się obco we własnym kraju, a te owady z takimi honorami cię przyjmują jakby cię poznawały. (*odpędza je*) No, spokój, spokój, bez zbytnich czułości. Stąd one się tu wzięły? Więcej hałasu robią niż kołatki, a każda większa od wałki.

JUPITER (który się zbliżył). To są zwykle muchy mięsne, tylko że podtuczone. Już z piętnaście lat będzie, jak ściągnęła je nad miasto mocna woń ścierwa. Od tego czasu tyją. Za drugich piętnaście lat dojdą wielkości małych żab.

(chwilą ciszy)

PEDAGOG Z kim mamy przyjemność?

JUPITER Nazywam się Demetrios. Przybywam z Aten.

ORESTES Widziałem cię, zdaje się, na statku dwa tygodnie temu.

JUPITER I ja cię widziałem.

(z zamku dochodzą dzikie wrzaski)

PEDAGOG Hola! Hola! Nie bardzo mi się to wszystko podoba i byłbym, panie mój, zdania, żebyśmy sobie stąd poszli.

ORESTES Milcz.

JUPITER Nic wam nie grozi. Dziś jest święto umarłych. Te krzyki oznaczają po prostu, że ceremonia się zaczęła.

ORESTES Zdajesz się dobrze obeznany z miastem.

JUPITER Bywam tu często. Wtedy, gdy wraz z Agamemnonem zwycięska flota grecka przybiła do brzegu w zatoce Nauplii, też tutaj byłem. Z wałów można było dostrzec białe żagle okrętów. (odpędza muchy) Nie było jeszcze wtedy much. Argos, małe prowincjonalne miasteczko, leniwie nudziło się w słońcu. Przez dwa następne dni razem z innymi wychodziłem na mury i z daleka patrzyliśmy długo na orszak królewski, który posuwał się zwolna ku miastu. Drugiego dnia wieczorem królowa Klitajmestra wyszła na wały razem z łaskawie dziś panującym Ajgistem. Mieszkańcy Argos widzieli ich twarze zakrwawione promieniami zachodzącego słońca. Widzieli, jak pochyleni patrzyli długo w kierunku morza i pomyśleli sobie mieszkańcy Argos, że nieszczęście nawiedzi ich miasto. Ale nie powiedzieli nic. Ajgistos, jak pewno wiecie, był gachem Klitajmestry. Taki sobie mydłek, już wtedy miał skłonność do melancholii. Ale wydajesz się zmęczony?

ORESTES Nie... Może trochę... Droga była męcząca i ten upał... Mów, z ciekawości mnie.

JUPITER Agamemnon był nienajgorszym człowiekiem, ale, widzisz, popełnił jeden kardynalny błąd. Nie pozwalał nigdy na publiczne egzekucje. A to niedobrze. Takie sobie na przykład powieszenie to nie byle jaka rozrywka na prowincji, oswaja to ludzi ze śmiercią. Mieszkańcy Argos nie powiedzieli nic, bo nudzili się i tęsknili za widokiem gwałtownej śmierci. Gdy zobaczyli swego króla u bram miasta, nie powiedzieli nic. I gdy zobaczyli, że Klitajmestra rozwiera mu swe wonne ramiona, też nic nie powiedzieli. Wystarczyłoby wtedy słowo, jedno słowo, ale oni milczeli i każdy z nich pieścił oczyma obraz wielkiej rozwalonej głowy.

ORESTES Ty też nic nie powiedziałeś?

JUPITER Widzę, że cię to gniewa. To ładnie, to świadczy o czułym sumieniu. Otóż nie, nie rzekłem słowa. Jestem nietutejszy, nie obchodzą mnie ich sprawy. A nazajutrz, gdy mieszkańcy Argos usłyszeli króla wyjącego z bólu wśród pałacu, też nic nie powiedzieli. Opuścili tylko powieki na oczy wywrócone rozkoszą i miasto całe było jak kobieta w czasie rui.

ORESTES I morderca panuje. I zaznał piętnaście lat szczęścia. A ja myślałem, że bogowie są sprawiedliwi.

JUPITER Ejże! Nie winić bogów zbyt pochopnie. Czy trzeba zawsze karać? Nie lepiej było obrócić ten bałagan na korzyść porządku moralnego?

ORESTES Zrobili tak?

JUPITER Nasłali muchy.

PEDAGOG A cóż muchy mają wspólnego z tym wszystkim?

JUPITER Muchy to tylko symbol. Ale na tym przykładzie orędzie ich dzieło! Widzicie tę starą wiedźmę, tam, w głębi, która chyłkiem po- myka pod murem drepcząc czarnymi kroczkami? To znakomity okaz tego płaskiego robactwa, co gnieździ się w szczelinach murów. Poczeka- kajcie chwilę, wezmę ją w garść i przyniosę. (dopada Starej i wywleka ją na proscenium) Oto ją macie. Widzicie o okropieństwo? Ha! Tize- poczesz powiekami, starucho, a przecież wy, mieszkańcy Argos, przy- wykliście patrzeć w rozżarzone do białości słońce. Spójrzcie na te pod- rygi ryby złowionej na wędkę. Powiedz mi, stara, pewnie z tuzin synów postradałaś, czarna jesteś od stóp do głów. No, mów, to może cię puszc- czę! Po kim żalobę nosisz?

STARA To strój mieszkańców Argos.

JUPITER Strój mieszkańców Argos. Aha, rozumiem. Nosisz żalobę po królu, po królu zamordowanym.

STARA Milcz, milcz, na miłość boską.

JUPITER Ty już przecież nie jesteś pierwszej młodości. Musiałś słyszeć wrzaski konającego, co kołowały po ulicach miasta przez cały ranek. Coś wtedy uczyniła?

STARA Mój chłop był w polu. Co mogłam sama zrobić? Zamknęłam się na klucz.

JUPITER Tak i okno uchyliłaś, aby lepiej słyszeć, i stałaś zasłuchana za firankami, z zapartym tchem, i czułaś dziwne jakieś laskotanie w oko- licach krzyża.

STARA Przestań!...

JUPITER Dobrze ci było w łóżku tej nocy, co? Przyjemnie? Istne święto miłości!

STARA O, panie, to było... straszne święto.

JUPITER Szkarłatne święto! Jego wspomnienia nie zdołaliście dotąd pogrze- bać.

STARA Panie, czyś ty z umarłych?

JUPITER Z umarłych? Idź, stara wiariatko! Nie zastanawiaj się lepiej, kim jestem. Sobą byś się raczej zajęła i niebo pokutą prześlągiwała za grzechy.

STARA Ależ ja pokutuję, panie, żebyś ty wiedział, jak pokutuję! I córka moja pokutuje, i zięć krowę co roku poświęca, i wnuczek, siódmy mu roczek dopiero, w pokucie był wychowany. Grzeczny jest jak obrazek, włoski ma takie jasne, a cały jest przeniknięty poczuciem grzechu pier- worodnego.

JUPITER Dobrze już, dobrze, idź do diabła, starucho, a pamiętaj, byś szczezła w pokucie. To twoja jedyna deska ratunku. (Stara ucieka) No cóż, moi panowie, albo mnie oczy mylą, albo uczciwa to pobożność, so- lidna, po staremu na strachu wyrosła.

ORESTES Kto ty jesteś?

JUPITER Co się tam mną przejmować O bogach była mowa. A więc, jak myślicie, czy trzeba było Ajgista piorunem uśmiercać?

ORESTES Trzeba było... A zresztą nie wiem, co mnie to obchodzi, nie jestem z Argos. Czy Ajgistos też pokutuje?

JUPITER Ajgistos? Nie sędzę. Ale to nie ma znaczenia. Całe miasto poku- tuje za niego. A pokuta liczy się na wagę. (dzikie wrzaski z pałacu) Sły- szysz? Aby lud nie zapomniiał nigdy wrzasków Agamemnona, jeden pa- stuch, dla siły swego głosu wybrany, wyje tak rokrocznie w wielkiej sali zamkowej. (Orestes robi gest obrzydzenia) To jeszcze nic. Zobaczysz za chwilę, gdy wypuszczą umarłych! Piętnaście lat upłynęło dzisiaj, jak Agamemnona zamordowano. Jakże się zmienił odtąd płochy lud Argos, jakże bliski stał się memu sercu.

ORESTES Twojemu sercu?

JUPITER Zostaw, zostaw, młodzieńcze. Sam do siebie mówiłem. Powiniennem był powiedzieć: bliski sercu bogów.

ORESTES Doprawdy? Pomazane krwią mury, miliony much, odór rzeźni, upał nie do wytrzymania, opustoszałe ulice, bóg z twarzą zamordowanego, opętane strachem larwy bijące się w piersi w cieniu swoich domostw i te krzyki, te krzyki nie do zniesienia — to wszystko tak bardzo podoba się Jupiterowi?

JUPITER Ach, nie sądz bogów, młodzieńcze, mają oni bolesne tajemnice.

(chwila ciszy)

ORESTES Agamemnon miał, zdaje się, córkę? Córkę imieniem Elektra?

JUPITER Tak. Ona tu nadal mieszka. W pałacu Ajgista.

ORESTES Aha, to jest właśnie pałac Ajgista. A cóż myśli o tym wszystkim Elektra?

JUPITER Mój Boże, to przecież jeszcze dziecko. Był też syn, niejaki Orestes. Powiadają, że nie żyje.

ORESTES Nie żyje? A ja ci powiadam...

PEDAGOG Ależ, panie mój, wiesz przecież dobrze, że Orestes zabity.

Ludzie w Nauplii opowiadali nam, jak po śmierci Agamemnona Ajgistos kazał go zamordować.

JUPITER Niektórzy twierdzą, że żyje. Oprawcy, zdjęci litością, mieli go porzucić w lesie. Uratował się podobno, wychowali go jacyś bogaci mieszczenie z Aten. Co do mnie, wolałbym, aby nie żył.

ORESTES Dlaczegoż to?

JUPITER Wyobraź sobie, że stanie on kiedyś u bram tego miasta.

ORESTES No to co?

JUPITER Hm! Wiecie, gdyby mi się udało spotkać go wtedy, powiedziałbym... powiedziałbym mu tak: „Młodzieńcze...” — Nazwałbym go młodzieńcem, gdyż jest mniej więcej w twoim wieku, jeśli żyje. — A propos, panie, jak ci na imię?

ORESTES Nazywam się Fileb, pochodzę z Koryntu. Podróżuję dla nauki z niewolnikiem, który był moim nauczycielem.

JUPITER Pięknie. A więc powiedziałbym mu tak: „Młodzieńcze, odejdz stąd. Czego tu szukasz? Czy chcesz upominać się o swoje prawa? Jesteś młody i silny mógłbyś przewodzić jakiejś walecznej armii. Nęci ciebie panowanie nad wymarłym miastem, nad ścierwem miasta, obsiadłym przez muchy. Mieszkańcy Argos wielce są grzeszni, ale oto idą po drodze odkupienia. Zostaw ich w spokoju, młodzieńcze, uszanuj ich pokutę bolesną, odejdz cichutko, na palcach. Nie możesz pokutować wraz z nimi, bo nie brałeś udziału w ich zbrodni. Twoja wyzywająca niewinność wykopała pomiędzy tobą a nimi głęboki, nieprzebyty rów. Odejdz stąd, jeżeli ich kochasz choć trochę. Odejdz, odejdz, bo inaczej ich zgubisz. Jeśli choć na chwilę zatrzymają się w drodze, jeśli na chwilę choćby zapomną o wyrzutach sumienia, wszystkie ich grzechy zastygną na nich jak zimny tłuszcz. Nieczyste mają sumienia, strach ich ogarnia, a strach, nieczyste sumienie rozkoszną wydzielają woń dla boskich nozdrzy. Tak, w tych duszach godnych litości upodobali sobie bogowie. Chciałbyś im łaskę bogów odebrać? I cóż możesz dać im w zamian? Chwilę spokojnego trawienia, osowiałą pustkę prowincjonalnego życia i nudę, ach, codzienną nudę szczęścia. Szczęśliwej podróży, młodzieńcze, szczęśliwej podróży! Porządek państwa, ład dusz to są wątle i niestałe rzeczy, dotykając ich sprowadzić możesz nieszczęście. (patrzac mu w oczy) Straszliwe nieszczęście, które na ciebie spadnie.”

ORESTES Doprawdy? Tak byś do niego przemówił? A ja, gdybym był tym młodzieńcem, odrzekłbym na to... (mierząc się chwilę wzrokiem, Pedagog pokastuje) Właściwie nie wiem, co bym odrzekł. Masz może rację, a zresztą, co mnie to wszystko obchodzi.

JUPITER No to świetnie. Tak bym chciał, żeby Orestes był równie rozsądny.

A teraz pokój z wami, mam tu różne swoje sprawy.

ORESTES Pokój z tobą.

JUPITER A propos, gdyby te muchy was dręczyły, dam wam na nie sposób. Spójrzcie na ten rój, który nad nami brzęczy. Podnoszę rękę, nieznaczny ruch dłoni, mówię: „Abraxas, galla, galla, tse, tse”. Widzicie, od razu spadają na ziemię i pelzają jak larwy.

ORESTES Na Jupitera!

JUPITER O, to jeszcze nic. Mam niejake talenty towarzyskie. Lubie bawić się czasami w zaklinacza much. Do widzenia. Jeszcze się zobaczymy.

(wychodzi)

Scena II

PEDAGOG Strzeż się. Ten człowiek wie, kim jesteś.

ORESTES Myślisz, że to człowiek?

PEDAGOG Panie mój, jakże mnie zasmucasz! Cóż z moich nauk zostało, gdzie ten pogodny sceptycyzm, który ci się starałem zaszcześcić? „Myślisz, że to człowiek?” A niby co? Ja wiem, że istnieją tylko ludzie, a i tego czasem zanadto. Ten brodacz też jest człowiekiem. Pewnie jakiś szpieg Ajgista.

ORESTES Porzuć tę swoją filozofię. Za wiele mi już ona zła wyrządziła.

PEDAGOG Zła? Czyż wyzwalając umysły z zabobonów szkodzi się ludziom? Ach, jakżeś się zmienił! Niegdyś mogłem w tobie czytać... Czy powiesz mi wreszcie, co zamýślasz? Po co przywiodłeś mnie tutaj? I co tu zamierzasz robić?

ORESTES Czy powiedziałem, że zamierzam coś zrobić? No więc? Lepiej byś był cicho. (podchodzi do pałacu) Oto mój pałac. Tu ojciec mój się rodził. Tu go dziwka z gachem zamordowała. I ja tu się urodziłem. Miałem trzy lata, gdy mnie stąd wywiedli żołdacy Ajgista. Wyszliśmy pewnie tą bramą, jeden z nich niósł mnie w ramionach, oczy miałem otwarte i pewnie płakałem... Nic, nic nie pamiętam. Patrzę na ten wielki, niemy gmach, nazbyt prowincjonalnie uroczysty. I widzę go po raz pierwszy.

PEDAGOG Nic nie pamiętasz, niewdzięczny mój panie? A ja poświęciłem dziesięć lat życia, aby ci pamięć wspomnieniami zapełnić. A wszystkie nasze podróże? A wspólnie zwiedzane miasta? Nic nie pamiętasz? A mnie się zdawało, że tyle pałaców, świątyń i kościołów udało mi się wtłoczyć do twojej pamięci, że mógłbyś przewodnik po Grecji napisać, jak Pausanias, geograf.

ORESTES Pałace! To prawda. Pałace, kolumny, posągi! Jak to się dzieje, że jestem taki lekki, skoro tyle głazów mam w głowie. A o świątyni w Efezie dlaczego nie wspominasz, o jej trzystu osiemdziesięciu siedmiu stopniach. Przemierzyłem je wszystkie, jeden po drugim. O wszystkich pamiętam. Siedemnasty był, zdaje się, pęknięty. Stary pies, pies, który przy ogniu się grzeje, i podnosi się na łapach, gdy jego pan wchodzi, i skamle cicho na przywitanie, ten pies ma lepszą pamięć ode mnie. On poznaje swego pana. Swego pana. A cóż jest mojego?

PEDAGOG Pogardzasz kulturą i wiedzą? Wiedza twoja do ciebie należy. Układałem ją z miłością, jak bukiet, wiążąc owoce mądrości i skarby doświadczenia. Od dziecka dawałem ci do czytania wszystkie możliwe książki, abyś zawczasu poznał, jak rozbieżne bywają ludzkie zdania. Przemierzyliśmy razem setki krain, a ja wskazywałem ci wszędzie, jak odmienne bywają ludzkie obyczaje. Teraz, gdy jesteś młody, bogaty, piękny, rozważny jak mędrzec, wyzwolony ze wszystkich obowiązków, ze wszystkich wierzeń, bez rodziny, bez ojczyzny, bez wiary, bez zawodu, gotów

poświęcić się każdej idei, wiedząc, że żadnej poświęcać się nie należy, gdy jesteś wreszcie szczęśliwym człowiekiem, gdy możesz filozofię czy architekturę na fakultecie wykładać — teraz narzekasz.

ORESTES Nie, ja nie narzekam. Nie mogę narzekać. Obdarowałeś mnie wolnością przędzy, którą wiatr z pajęczyn zrywa i chwieje w powietrzu o kilka metrów nad ziemią. Nie więcej ważę niż ta nić i jak ona zawieszony jestem w powietrzu. Wiem, że to nie byle jakie szczęście i całkowicie je doceniam. *(chwila ciszy)* Są ludzie, którzy już rodzą się zaangażowani, nie mają wyboru, rzucono ich na drogę, a na końcu tej drogi czeka na nich czyn — ich czyn. Idą i nogi ich boso mocno stąpają po ziemi i kaleczą się o kamienie. Tobie, oczywiście, ta radość zdążania do celu wydaje się pewnie prostacka? I są inni, cisi, którym w sercu ciążyą dawne jakieś, zatarte obrazy... Ich życie się zmieniło, bo kiedyś, w dzieciństwie, gdy mieli pięć czy siedem lat... Nie opowiadaj, to nie są ludzie szczęśliwi. Miałem siedem lat, gdy już wiedziałem, że jestem wygnancom. Zapachy, dźwięki, krople deszczu bijące o dach, mruganie świateł spływały po mnie i padały na ziemię; wiedziałem, że do innych należą i że nigdy z nich nie zbuduję moich wspomnień. Bo wspomnienia to tłusty pokarm tych, którzy mają dom, chudobę, służących i pola. A ja... Ja jestem wolny, bogom niech będą dzięki. Ach, jakżeż ja jestem wolny. I jaką doskonałą pustkę mam w duszy. *(zbliża się do pałacu)* Tutaj bym mieszkał. Nie byłbym przeczytał żadnej z twoich książek, a może bym nawet i czytać nie umiał; królowie rzadko umieją czytać. Ale z dziesięć tysięcy razy, tam i z powrotem, przechodziłbym przez te drzwi. Jako dziecko bawiłbym się nimi i usiłował je otworzyć. One by trzeszczały pod naporem mych rączy, ale by nie puszczały, a ramiona moje poznałyby ich ciężar. Później cichaczem uchylałbym je w mroźne noce, wychodząc do dziewcząt. A jeszcze później, w dniu mej pełnoletności, niewolnicy otworzyliby je na oścież i na koniu przekroczyłbym próg. Drzwi wy moje stare, drewniane. Po omacku, w ciemnościach odnaleźć bym potrafił klamkę. A tę dziurę u dołu to może ja bym zrobił przez niezręczność, pierwszego dnia, gdy dano mi lancę do ręki. *(odchodzi parę kroków)* Styl wczesno dorycki, prawda? Jak ci się podobają te złote inkrustacje? Widziałem podobne w Dodonie, dobra robota! No, stary, ucieiszysz się pewnie: nie mój to pałac, nie moje drzwi. I nic tu nie mamy do roboty.

PEDAGOG Nareszcie przemawia przez ciebie rozsadek. Zresztą, niewiele byś zyskał, gdybyś mieszkał tu całe życie. Dusiłbyś się dzisiaj w okowach upokarzającej pokuty.

ORESTES *(wybuchając)* Ona przynajmniej moją by była. I ta spiekota, od której włosy rudzieją. I nieustanne much tych brzęczenie. O tej godzinie nagi, w pałacowej sali, wpatrywałbym się przez szparę okiennicy w czerwone, gorejące światło dnia. Czekalbym, aż słońce zajdzie, a z ziemi wstanie, jak zapach odurzający, chłodny cień wieczoru w Argos. Takiego samego wieczoru jak sto tysięcy innych, a jednocześnie ciągle nowego. Cień mojego wieczoru. Chodźmy, mój mistrzu. Nie widzisz, że smażymy się w cudzym upale?

PEDAGOG Ach, panie, taki jestem szczęśliwy. Ostatnimi czasy — dla dokładności, odkąd ci zdradziłem tajemnicę twoich narodzin — widziałem, jak z dnia na dzień się zmieniasz i oka już zmrużyć nie mogłem. Bałem się...

ORESTES Czego?

PEDAGOG Gniewać się będziesz...

ORESTES Nie, mów.

PEDAGOG Bałem się — można być ironistą i sceptykiem od urodzenia, głupie myśli i tak przychodzą czasami do głowy — bałem się, czy aby nie zamysłasz przegnać Ajgista i tronem jego zawładnąć.

ORESTES (powoli) Przegnać Ajgista? (chwilą ciszy) Uspokój się, staruszk. Za późno. Nie brak mi wprawdzie ochoty, aby chwycić za brodę tego rozpustnika z zakrystii i ściągnąć go z tronu mego ojca. Ale cóż, nic mnie z tymi ludźmi nie łączy. Nie byłem przy narodzinach żadnego z ich dzieci ani na zaślubinach córek mnie nie było, nie podzielam ich skruchy i z imienia nie znam tu nikogo. Brodacz ma rację: król musi mieć te same wspomnienia co poddani. Zostawmy ich, starcze, chodźmy. Odejdziemy na palcach. Widzisz, gdyby był taki czyn, który by mi pozwolił stanąć wśród nich, gdybym za cenę zbrodni nawet mógł zagarnąć ich pamięć, strach i nadzieję, aby zapełnić pustkę mego serca, gdybym w tym celu musiał własną matkę zabić...

PEDAGOG Panie!

ORESTES Nie bój się. To tylko senne rojenia. Chodźmy. Dowiedz się o jakieś konie, jedziemy do Sparty.

(wchodzi Elektra)

S c e n a III

ELEKTRA (niesie jakąś skrzynię, zbliża się do posągu Jupitera) Ach, ty padlino! Możesz wyłupiać na mnie swe okrągłe oczy, możesz marszczyć groźnie twarz pomazaną malinowym sokiem, ja się nie ulękne. No co, odwiedziły cię dzisiaj nasze dewotki, te poczwary w czerni. Z czią obchodziły twój posąg tupiąc czarnymi butami. Zadowolony byłeś, karawaniarzu, prawda? Lubisz te staruchy; im bardziej stają się podobne do trupów, tym bardziej je lubisz. Rozlały u twych stóp wina najdroższe, bo dziś twoje święto, i do nosa twojego spod starych spódnic wionęła woń stęchlizny, ten odór rozkoszny jeszcze łaskocze pewnie twoje nozdrza. (ocierając się o niego) A teraz chłoń mój zapach, woń młodego ciała. Młoda jestem, żywa, ciebie to wstrętem przejmuję, prawda? Ja też przynoszę ci swoje dary, gdy całe miasto pogrążone jest w modlitwie. Masz tu obierzyny kartofli, i popiół z pieca, i zepsute, robaczywe mięso, i brudny kawałek chleba, którego świni nie chciały. Będzie to smakowało twoim muchom. Szczęśliwego życzę ci święta i aby ostatnim już było. Ja jestem słaba dziewczyna i nie mam siły zwalić ciebie na ziemię. Mogę ci najwyżej plunąć w twarz, to wszystko. Ale przyjdzie ten, na którego czekam, przyjdzie ze swoim wielkim mieczem. Popatrz na ciebie z szyderstwem, tak, właśnie w ten sposób, podeprze się w biodrach i przechyli do tyłu. A później miecz wyciągnie i jednym cięciem rozplata cię od góry do dołu, o tak! Wtedy posąg Jupitera rozpadnie się na dwa kawały, jeden poleci w prawo, drugi w lewo, i każdy zobaczy, żeś drewniany. Że z białego, bielusińskiego drewna jest bóg śmierci. Ta groza i krew na twarzy, te oczy ciskając zielone pioruny — to wszystko politura, werniks. Ty sam wiesz dobrze, że biały jesteś w środku, biały i bezbronny jak ciało niemowlęcia, ty wiesz, że jedno cięcie miecza na pół cię rozwali i nawet krwawić nie będziesz. Zwyczajne białe drzewo! Takie drzewo świetnie nadaje się na opał. (sposstrzega Orestesa) Ach...

ORESTES Nie bój się.

ELEKTRA Nie boję się. Wcale się nie boję. Kim jesteś?

ORESTES Jestem obcy, cudzoziemiec.

ELEKTRA Bądź pozdrowiony. Drogie mi jest wszystko, co obce temu miastu. Jak się nazywasz?

ORESTES Nazywam się Fileb, pochodzę z Koryntu.

ELEKTRA Ach tak? Z Koryntu? Mnie nazywają Elektra.

ORESTES Elektra? (do Pedagoga) Zostaw nas samych.

(Pedagog wychodzi)

S c e n a IV

ELEKTRA Dlaczego tak patrzysz na mnie?

ORESTES Piękna jesteś. Niepodobna do tutejszych ludzi.

ELEKTRA Piękna? Jesteś pewny, że piękna? Równie piękna jak dziewczęta z Koryntu?

ORESTES Tak.

ELEKTRA Nie mówią mi tutaj tego. Nie chcą, żebym o tym wiedziała. Zresztą po co mi to, jestem tylko służącą.

ORESTES Służącą? Ty?

ELEKTRA Ostatnią z posługaczek. Piorę królewską bieliznę. Brudna to bielizna i pełna świństwa. Całą ich białą bieliznę, koszule, które okrywały ich ciała gnijące, i tę, którą wkłada Klitajmestra, kiedy król dzieli jej łóżę, ja to wszystko piorę. Zamykam oczy i trę ze wszystkich sił. I naczynia też myję. Nie wierzysz? Popatrz na moje ręce. Popękane, prawda? I zniszczone. Dlaczego tak dziwnie patrzysz? Czyżby przypadkiem wyglądały na ręce królowny?

ORESTES Biedne ręce. Nie. Nie wyglądają na ręce królowny. Lecz mów dalej. Co jeszcze każą ci robić?

ELEKTRA Każdego ranka muszę wyrzucać śmieci. Wynoszę skrzynię z pałacu — a później... widziałeś, co z nimi robię. Ten bałwan drewniany to Jupiter, bóg much i śmierci. Któregoś dnia Arcykapłan, przyszedłszy ukorzyć się przed nim, omal się nie wywalił jak długi na kaczanach z kapusty, na obierzynach z brukwi, na pustych muszlach po małżach. Myślałam, że oszaleje z przerażenia. Powiedz, wydasz mnie?

ORESTES Nie wydam.

ELEKTRA Możesz mnie zresztą wydać, nie zależy mi na tym. Co mi jeszcze mogą zrobić? Bić? Już mnie bili. Zamknąć na tej wysokiej wieży? To nawet dobry pomysł, nie byłabym przynajmniej zmuszona oglądać ich co dzień. Wiesz, każdego wieczora, kiedy kończę swą pracę, bywam nagradzana. Muszę wtedy podejść do wysokiej grubej kobiety o pomalowanych włosach. Ma zawsze tłuste wargi i bardzo białe ręce, pachnące miodem ręce królowej. Kładzie mi ręce na ramiona, klei mi usta na czole, mówi: „Dobranoc, Elektro!” Tak co wieczór. Co wieczór czuję tuż, tuż, przez skórę, jak oddycha to mięso ciepłe, obłeśne. Ale trzymam się. Jeszcze nigdy nie zemdlałam. To moja matka, rozumiesz? Gdyby zamknęli mnie na wieży, już by mnie więcej nie całowała.

ORESTES Nie myślałaś nigdy o ucieczce?

ELEKTRA Brak mi odwagi. Strach by mnie ogarnął, samą, na drodze.

ORESTES A nie masz przyjaciółki, która by z tobą uciekła?

ELEKTRA Nie. Mam tylko samą siebie. Ja jestem jak zaraza, jak trąd, spytaj, powiedzą ci ludzie. Nie mam przyjaciółek.

ORESTES Co? Nawet niańki, jakieś staruszki, która by pamiętała dzień twych urodzin i kochała choć trochę?

ELEKTRA Nawet tego. Spytaj mej matki, zniechęciłabym najczulsze serce.

ORESTES I będziesz tu mieszkała przez całe życie?

ELEKTRA (krzyczy) Ach nie! Nie przez całe życie! Nie! Słuchaj! Ja na coś czekam...

ORESTES Na coś czy na kogoś?

ELEKTRA Nie powiem. Ale ty mów. Ty też jesteś piękny. Długo tu pozostaniesz?

ORESTES Miałem jeszcze dzisiaj wyjechać... Ale teraz...

ELEKTRA Teraz?

ORESTES Nie wiem.

ELEKTRA Czy Korynt to ładne miasto?

ORESTES Bardzo ładne.

ELEKTRA Lubisz je? Dumny jesteś z niego?

ORESTES Tak.

ELEKTRA Dziwne mi się wydaje, jak można być dumnym z rodzinnego miasta. Wytlumacz mi to.

ORESTES Bo ja wiem... Nie wiem... Nie potrafię wytłumaczyć...

ELEKTRA Nie potrafisz? (chwila ciszy) Czy to prawda, że w Koryncie są ocienione drzewami place? Po których ludzie przechadzają się wieczorem?

ORESTES Prawda.

ELEKTRA I wszyscy wychodzą na ulice? I wszyscy spacerują?

ORESTES Wszyscy.

ELEKTRA Chłopcy z dziewczętami?

ORESTES Chłopcy z dziewczętami.

ELEKTRA I zawsze mają sobie coś do powiedzenia? I nie nudzą się razem? I słyhać, jak do późna w noc śmieją się razem i bawią?

ORESTES Tak.

ELEKTRA Wydają ci się naiwna, głupia. Ale tak trudno mi sobie wyobrazić spacer, śpiewy, śmiechy. Tutejsi mieszkańcy zzerani są przez strach. A ja...

ORESTES Ty?

ELEKTRA Ja... przez nienawiść. A co one robią całymi dniami, dziewczęta korynckie?

ORESTES Najpierw się stroją, później śpiewają albo grają na lutni, potem składają wizyty przyjaciółkom, a wieczorem idą na bal.

ELEKTRA I żadnych nie mają zmartwień?

ORESTES Mają swoje małe zmartwienia i troski.

ELEKTRA Och, słuchaj. Czy mieszkańcy Koryntu miewają także wyrzuty sumienia?

ORESTES Czasami. Rzadko.

ELEKTRA Więc robią, co chcą, a później już o tym nie myślą?

ORESTES Właśnie.

ELEKTRA To dziwne. (chwila milczenia) I powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Muszę o tym wiedzieć dlatego, że czekam... czekam na kogoś. Przypuśćmy, że taki chłopak z Koryntu, jeden z tych, co wieczorami śmieją się i przechadzają z dziewczętami, znalazłby, wróciwszy z dalekiej podróży, ojca swego zamordowanego i matkę w łóżku mordercy, i siostrę oddaną na służbę. Powiedz, czy ten koryncki chłopak potrafiłby zamilczeć, odejść chyłkiem, na palcach, kłaniając się w pas, czy poszedłby szukać pocieszenia u swoich dziewcząt? Czy też wyciągnąłby miecz i bił w mordercę, póki mu głowy nie rozplatał? Nie odpowiadasz...

ORESTES Nie wiem...

ELEKTRA Nie wiesz?

GŁOS KLITAJMESTRY Elektro!

ELEKTRA Cicho!

ORESTES Co to?

ELEKTRA To matka moja, królowa Klitajmestra.

S c e n a V

ELEKTRA Cóż to, Filebie? Tak się jej przestraszyłeś?

ORESTES Tyle razy próbowałem wyobrazić sobie tę twarz, aż ją w końcu zobaczyłem, miękką i znużoną pod blaskiem szminek. Ale nie spodziewałem się tych oczu zmartwiałych.

KLITAJMESTRA Elektro, król życzy sobie, abyś się przygotowała do ceremonii. Włóżysz czarną suknię i wszystkie drogie kamienie. Proszę cię! Co znaczą te oczy spuszczone? Łokcie przyciskasz do chudych bioder. czujesz się nieswojo, jakby cię własne ciało kępowało... Często taka jesteś w mojej obecności. Ale ja już nie dam się nabrać na te twoje

małpie miny. Przed chwilą widziałam przez okno inną Elektrę, o swobodnych ruchach i oczach pełnych ognia. Czy spojrzysz mi wreszcie w oczy? Czy mi w końcu odpowiesz?

ELEKTRA Czy obecność brudnej służącej może przydać więcej blasku waszemu świętu?

KLITAJMESTRA Dość tych komedii. Jesteś królowną, Elektro, i lud na ciebie czeka jak co roku.

ELEKTRA Jestem królowną? Doprawdy? Ale przypominacie sobie o tym tylko raz do roku, kiedy lud chce oglądać dla swego zbudowania obraz naszego szczęścia rodzinnego. Ładna królowna, co statki zmywa i świń dogląda. Czy Ajgistos znów, jak w zeszłym roku obejmując mnie ramieniem i uśmiechając się czule będzie mi groźby szeptał do ucha?

KLITAJMESTRA To tylko od ciebie zależy, jeśli chcesz, aby było inaczej.

ELEKTRA O tak, wystarczy, żebym dała się zarazić przez waszą skruchę, wystarczy, żebym zechciała błagać nieba o przebaczenie grzechu, którego nie popełniłam. Tak, wystarczy, żebym zechciała ucałować ręce Ajgista, ojcem go nazywając. Fu! Krew zaschnięta ma za paznokciami!

KLITAJMESTRA Rób, jak chcesz. Już dawno przestałam rozkazywać ci we własnym imieniu. Przekazałam ci rozkazy króla.

ELEKTRA A cóż mi rozkazy Ajgista? To przecież twój mąż, moja mamo, twój mąż ukochany — nie mój.

KLITAJMESTRA Cóż mogę ci powiedzieć, Elektro? Pragniesz, widzę, zguby swojej i nas wszystkich. Ale cóż radzić ci mogę ja, która w jeden dzień zrujnowałam całe swoje życie. Nienawidzisz mnie, moje dziecko, ale bardziej mnie niepokoi to, że jesteś do mnie podobna. I ja miałam tę twarz spiczastą, tę krew niespokojną, te oczy podejrzliwe — i nic dobrego z tego nie wynikło.

ELEKTRA A ja nie chcę być do ciebie podobna! Powiedz, Filebie, ty, który nas widzisz obydwie, jedną obok drugiej, to nieprawda, nie jestem do niej podobna.

ORESTES Co powiedzieć? Jej twarz jest jak pole zniszczone przez piorun i grad. Ale na twojej dostrzegam jakby obietnicę burzy: kiedyś namiętność spali ją do kości.

ELEKTRA Obietnicę burzy? Dobrze. To podobieństwo przyjmuję. Obyś był prawdę rzekł.

KLITAJMESTRA A ty? Ty, który ludziom śmiesz patrzeć w oczy, kim jesteś? Pozwól, że i ja na ciebie popatrzę. Co tu robisz?

ELEKTRA (wtrąca szybko) To Koryntianin imieniem Fileb. Podróżuje.

KLITAJMESTRA: Fileb? Ach!

ELEKTRA Czy obawiałaś się inne imię usłyszeć?

KLITAJMESTRA Obawiałam się? Jeżeli gubiąc się cokolwiek zyskałam, to chyba to, że się już niczego w życiu nie obawiam. Zbliź się, cudzoziemcze, i bądź pozdrowiony. Jakiś ty młody! Ile masz lat?

ORESTES Osiemnaście.

KLITAJMESTRA Rodzice twoi jeszcze żyją?

ORESTES Ojciec nie żyje.

KLITAJMESTRA A matka? Jest chyba w moim wieku? Nie odpowiadasz? Bo wydaje ci się pewnie młodsza, śmieje się, śpiewa razem z tobą. Kochasz ją? No, powiedz! Dlaczegoś ją opuścił?

ORESTES Jadę do Sparty zaciągnąć się w szeregi wojsk najemnych.

KLITAJMESTRA Inni podróżni wolą nakładać dwadzieścia mil i omijać nasze miasto. Nie przestrzegano ciebie? Jesteśmy jak zadżumieni. Ludzie z nizin uważają, że nasza pokuta to morowe powietrze i boją się zarazy.

ORESTES Wiem o tym.

KLITAJMESTRA Czy powiedziano ci, że ciąży nad nami straszliwa zbrodnia popełniona piętnaście lat temu?

ORESTES Mówiono mi o tym.

KLITAJMESTRA Że największą zbrodniarką jest królowa Klitajmestra. Że jej imię jest przeklęte wśród przeklętych.

ORESTES Mówiono mi o tym.

KLITAJMESTRA A jednak przyszedłeś tu. Cudzoziemcze, ja jestem królową Klitajmestrą.

ELEKTRA Nie rozczulaj się zbytnio, Filebie. Królowa używa naszej narodowej rozrywki — publicznej spowiedzi. Jest u nas w zwyczaju, że każdy wykrzykuje na głos swoje grzechy. W dni świąteczne nierzadki jest na ulicach miasta widok kupca, który spuściwszy żaluzje swego sklepu czołga się po chodniku, głowę tarza w kurzu i oskarża się o morderstwo, wiarołomstwo czy też przekupstwo. Ale mieszkańcy Argos zaczynają się przyzwyczajać. Każdy już zna na pamięć cudze grzechy, szczególnie zaś grzechy królowej nikogo nie bawią. To są grzechy oficjalne, że tak powiem, fundamentalne grzechy naszego miasta. Wystaw sobie jej radość, kiedy ciebie zobaczyła. Młody, nowiutki, nie znający jej nawet z imienia. To przecież nie lada gratka! Jakby się pierwszy raz spowiadała.

KLITAJMESTRA Milcz. Każdemu wolno plunąć mi w twarz nazywając mnie morderczynią czy prostytutką. Ale nikomu nie pozwalam sądzić mojej skruchy.

ELEKTRA A to, widzisz, Filebie, to jest reguła gry. Ludzie będą cię błagać o słowa potępienia. Ale wolno ich sądzić jedynie po wyznawanych winach. Inne nikogo nie obchodzą i nie radzę ci się do nich dobierać.

KLITAJMESTRA Piętnaście lat temu byłam najpiękniejszą kobietą w Grecji. Spójrz na mnie, zobacz, co wycierpiałam. Będę szczerą, nie żałuję śmierci starego kozła. Pamiętam, śpiewałam z radością i tańczyłam widząc, jak powoli w wannie krew z niego uchodzi. I dziś jeszcze, po piętnastu latach, nie mogę o tym myśleć bez dreszczu rozkoszy. Ale miałam syna, byłby w twoim wieku. Gdy Ajgistos wydał go najemnikom, myślałam...

ELEKTRA Zdaje się, że miałaś także córkę, moja matko. Zrobiłaś z niej pomywaczkę. Ale ta przewina zbytnio ci nie ciąży.

KLITAJMESTRA Młoda jesteś, Elektro. Młodym łatwo potępiać, bo nie mieli jeszcze czasu splamić się złem. Ale cierpliwości, poczekaj. Wkrótce wlec będziesz za sobą zbrodnię nie do naprawienia. Z każdym krokiem będzie ci się wydawało, że się od niej oddalasza, a ona będzie ci ciągle tak samo ciążyła. Odwracając oczy będziesz ją widziała za sobą, daleką, nieosiągalną, ciemną i czystą jak czarny kryształ. I już nie zrozumiesz tego nawet i będziesz mówiła: „To nie ja, to nie ja zrobiłam”. A jednak ciągle będzie cię ona ścigała i choćbyś jej się tysiąc razy zaparła, zawsze pozostanie ci wierna. Aż zrozumiesz wreszcie, że życie swoje postawione na jedną kartę przegrałaś raz na zawsze i że już nic ci nie pozostaje, jak wlec swą zbrodnię do śmierci. Takie jest, sprawiedliwe czy niesprawiedliwe, prawo pokuty. Zobaczymy, jak będzie wtedy wyglądała pycha twojej młodości.

ELEKTRA Pycha mojej młodości? Tak, to prawda, własnej młodości żałujesz bardziej niż zbrodni, a młodości mojej nienawidzisz bardziej niż mojej niewinności.

KLITAJMESTRA Jeżeli czegoś nienawidzę w tobie, Elektro, to siebie samej. Nie twojej młodości, ach nie, ale swojej.

ELEKTRA A ja za to ciebie, ciebie nienawidzę.

KLITAJMESTRA Wstyd! Obrzucamy się obelgami jak dwie rywalki, które przeciwstawiła miłość do jednego mężczyzny. A przecież jestem twoją matką. Nie wiem, kim jesteś, młodzieńcze, ani po coś tu przyszedł, ale twoja obecność wśród nas jest zgubna. Elektra mnie nienawidzi, wiem o tym. Lecz przez piętnaście lat zachowywałyśmy milczenie i tylko spojrzenia zdradzały nasze uczucia. Przyszedłeś, przemówiłeś do nas i oto szczerzymy zęby i warczymy jak suki. Prawa naszego miasta nakazują ofia-

rować ci gościnność, ale nie ukrywam tego, wolalabym, żebyś stąd odszedł. A co do ciebie, moje dziecko, ty mój nazbyt wierny wizerunku, nie kocham ciebie. to prawda. Ale prędzej dałabym sobie odciąć prawą rękę, niżbym ci miała zaszkodzić. Wiesz o tym aż za dobrze i dlatego wykorzystujesz moją słabość. Lecz nie radzę ci wystawiać przeciw Ajgistowi twej młodej jadowitej główki, on jednym uderzeniem kija łamie krzyże żmijom. Wierz mi, poddaj się jego rozkazom. bo inaczej może cię to drogo kosztować.

ELEKTRA Możesz zawiadomić króla, że mnie nie będzie na uroczystości. Wiesz, co oni robią. Filebie? W skale nad miastem jest głęboka grotą, której dna żaden z naszych chłopców nie mógł nigdy osiągnąć. Podobno ma ona połączenie z Hadesem, w każdym razie Arcykapłan kazał przywalić otwór olbrzymim głazem. I wyobraź sobie, rokrocznie lud gromadzi się przed tą grotą, żołnierze odsuwają kamień, który wejście zamyka, a nasi umarli wychodzą z piekieł i rozchodzą się po mieście. Nakrywa się dla nich stoły, podsuwa im krzesła, ściele łóżka, robi im się miejsce u kominka, rozlażą się oni wszędzie i doznają wielkich honorów. Domyślasz się, jak żywi lamentują: „Mój mały trupie, mój trupku, nie chciałem cię obrazić, nie gniewaj się, przebacz“. Przed świtem, gdy kur zapieje, wracają pod ziemię, zaszuwa się kamień i spokój aż do następnego roku. Ja nie chcę uczestniczyć w tych dziecinadach. To są ich trupy, nie moje.

KLITAJMESTRA Jeżeli nie posłuchasz, król kazał przywieść cię siłą.

ELEKTRA Siłą?... Cha! Cha! Siłą? Mamo droga, możesz zapewnić króla, że będę mu posłuszna. Będę na waszej uroczystości, a lud, jeśli chce mnie widzieć, nie będzie zawiedziony. Ty zaś, Filebie, proszę cię, odłóż swój wyjazd i przybądź na nasze święto. Może cię to zabawi i rozerwie. Do zobaczenia więc, idę się przygotować.

(wychodzi)

KLITAJMESTRA (do Orestesa) Odejdź. Jestem pewna, że przyniesiesz nam nieszczęście. Nie możesz mieć do nas żadnej urazy, bo nie zawiniliśmy ci w niczym. Odejdź. Przez matkę twoją cię zaklinam. Odejdź!

(wychodzi)

ORESTES Przez matkę moją...

Scena VI

JUPITER (wchodząc) Twój niewolnik powiedział mi, że wyjeżdżacie. Szuka koni po całym mieście bezskutecznie. Lecz ja wam znajdę dwie osiodłane klacze i niedrogo.

ORESTES Już nie wyjeżdżamy.

JUPITER (powoli) Nie wyjeżdżacie? (chwila milczenia) Więc już was nie opuszczę. Jesteście moimi gośćmi. Znam tu w mieście niezgorszą oberżę, gdzie razem zamieszkamy. Nie będziecie żałować, żeście mnie za towarzysza obrali. Przede wszystkim — abraxas, galla, galla, tse, tse — odpędzam od was muchy. A poza tym, człowiek w moim wieku nieraz może posłużyć mądrą radą. Mogłbym być twoim ojcem, opowiesz mi swoje przygody. Chodź, młodzieńcze, daj się przekonać: spotkania tego rodzaju często bywają bardziej przydatne, niżli się zrazu wydaje. Weź przykład Telemaka, wiesz, syna Odysa. Pewnego pięknego poranka spotkał starszego pana imieniem Mentor, który przywiązał się do jego losów i szedł za nim krok w krok. A wiesz, kim był ów Mentor?

(mówiąc to wyprowadza Orestesa)

AKT DRUGI

OBRAZ PIERWSZY

Polana w górach, z prawej jaskinia. Wejście zawałone wielkim czarnym kamieniem. Po lewej — schody prowadzące do świątyni.

S c e n a I

Tłum, Jupiter, później Orestes i Pedagog

KOBIETA *(klękając przed swoim synkiem)* Ten krawat. Już trzeci raz wiąże ci węzeł. No! Teraz wyglądasz przyzwoicie. Bądź grzeczny i płacz ze wszystkimi, jak ci się powie.

DZIECKO Tędy mają przyjść?

KOBIETA Tędy.

DZIECKO Ja się boję.

KOBIETA Właśnie trzeba się bać, mój kochany. Trzeba się bardzo bać. Tylko tak można wyrosnąć na uczciwego człowieka.

MEŻCZYŻNA Ładną będą mieli dziś pogodę.

INNY Na szczęście! Zdaje się, że są bardzo wrażliwi na pogodę. Zeszłego roku padał deszcz i byli... byli okrutni.

PIERWSZY Okrutni?

DRUGI Niestety.

TRZECI Kiedy z powrotem wrócą do groty i zostawią nas samych, wdrapię się tu, popatrzę na ten kamień, odsapnę i powiem sobie „no, bracie, znów na rok mamy spokój“.

CZWARTY Tak? A dla mnie to żadne pocieszenie. Od jutra zacznę się zastanawiać: „jacyż oni będą następnego roku?“ Z każdym rokiem stają się gorsi.

DRUGI Milcz, nieszczęśniku. A jeśli któryś z nich już się przedostał przez szczelinę w skale i jest między nami? Czasem i umarli za wcześniej przychodzą na umówione spotkanie.

(patrzą po sobie niespokojni)

MŁODA KOBIETA Gdyby się to chociaż mogło zacząć od razu. Cóż oni tam wyrabiają w pałacu. Wcale się nie spieszą. Dla mnie najgorsze jest to oczekiwanie. Stoimy tu, przestępujemy z nogi na nogę pod rozżarzonym stropem i wpatrujemy się wszyscy w ten czarny głaz... Ha! Za tym kamieniem oni czekają jak my i cieszą się na myśl o udrękach, jakich nam szczerzyć nie będą.

STARA KOBIETA Dość tego, rozpustnico! Wiadomo, czego się tak boi. Maż jej umarł zeszłej wiosny, a od dziesięciu lat przyprawiała mu rogi.

MŁODA KOBIETA Prawda, przyznaję, zdradzałam go ile wlaźło, ale kochałam go, starałam się umilić mu życie; nigdy się niczego nie domyślił i umierając rzucił mi wierne spojrzenie wdzięcznego psa. A teraz wie wszystko, zatruto mu jego spokój, nienawidzi mnie i cierpi. Za chwilę będzie tu przy mnie, jego ciało dymne połączy się z moim ściślej, niż kiedykolwiek to uczynił ktoś z żyjących. I zaniosę go sobie do domu, owiniętego na szyi jak kolnierz z lisa. Nagotowałam mu różnych przysmaków, ciast napiekłam i przyrządziłam taką kolację, jaką lubił. Lecz nic nie złagodzi jego gniewu i tej nocy... tej nocy on będzie spał w moim łóżku.

MEŻCZYŻNA Ona ma rację, do cholery! Cóż ten Ajgistos wyprawia? Co on sobie myśli? Nie mogę dłużej znieść tego oczekiwania.

INNY Już ty się nie skarż. Myślisz, że Ajgistos mniej od nas się boi? Może chciałbyś być na jego miejscu i na dwadzieścia cztery godziny pozostać sam na sam z Agamemnonem, co?

MŁODA KOBIETA Koszmarne, koszmarne to wyczekiwanie. Wydaje mi się, że powoli wszyscy oddalacie się ode mnie. Jeszcze kamień nie odwalony, a już każdy rozmyśla o swoich zmarłych, już każdy jest samotny jak kropla deszczu.

(wchodzą Jupiter, Orestes i Pedagog)

JUPITER Chodź tutaj, będzie lepiej widać.

ORESTES A otóż i mieszkańcy Argos, bardzo wierni poddani króla Agamemnona.

PEDAGOG Jacy oni brzydcy! Spójrz, mój panie, na ich woskową cerę, na zapadnięte oczy. Ci ludzie umierają ze strachu. To skutek zabobonów. Popatrz no, popatrz! A jeśli nie jesteś jeszcze przekonany o doskonałości mojej filozofii, to porównaj moje różowe policzki.

JUPITER Różowe policzki, ładna mi porciecha! Mimo tych maków na buzi, mój staruszk, w oczach Jupitera jesteś zwyczajnym gnojem. Tak, tak, śmierdzisz i nawet o tym nie wiesz. Ich nozdrza może niepiękne napętniają zapachy, ale znają siebie lepiej niż ty.

(tłum faluje, wzburzony)

JEDEN Z MEŻCZYŹN *(wchodzi na stopnie świątyni, zwraca się do tłumu)*

Czy chcą nas doprowadzić do szaleństwa? Wołajmy razem, przyjaciele, wołajmy Ajgista, nie można pozwolić, aby nadal odwlekał uroczystość.

TŁUM Ajgiście! Ajgiście! Litości!

KOBIETA Oj, tak! Litości! Litości! Nikt się nade mną nie ułituje? Przyjdzie zaraz z rozciętą szyją ten, któremu tak nienawidziła, zamknie mnie w swoich lepkich, niewidzialnych ramionach i przez całą noc będzie mnie pieścił, przez całą noc! Aach!

(mdleje)

ORESTES Co to za obłęd? Trzeba powiedzieć tym ludziom...

JUPITER Młodzieńcze, co z tobą? Tyle hałasu o jedną zemdloną babę? Poczekaj, to jeszcze nic.

JEDEN Z MEŻCZYŹN *(rzucając się na kolana)* Ja śmierdę! Śmierdę! jestem ohydą padliną! Patrzcie, muchy obsiadły mnie jak kruki. Kąsajcie mnie, gryźcie, tnijcie mnie, muchy mścicielki, rozdrapcie moje ciało, dobierzcie się do serca. Zgrzeszyłem, sto tysięcy razy zgrzeszyłem, jestem kloaką, ustępem...

JUPITER Cóż to za miły człowiek!

ŁUDZIE *(podnoszą go)* Uspokój się, uspokój. Opowiesz im to wszystko później, jak przyjdą.

(człowiek leży na ziemi ogłupiały, oddycha głęboko, przewracając oczyma)

TŁUM Ajgiście! Ajgiście! Litości, każ wreszcie zacząć! Już nie możemy wytrzymać.

(Ajgistos ukazuje się na schodach świątyni. Za nim Klitajmestra i Arcykaptan. Straż)

Scena II

AJGISTOS Psy! Ośmielacie się skarżyć? Czyście już zapomnieli o waszej ohydzie? Na Jupitera, zaraz odświeżę wasze wspomnienia. *(zwracając się do Klitajmestry)* Musimy więc zacząć bez niej. Ale ona mnie popamięta. Przykładnie ją ukarzę.

KLITAJMESTRA Obiecała mi posłuszeństwo. Pewnie się jeszcze stroi. Może zapomniała się przed lustrem.

AJGISTOS *(do straży)* Niech pójdą po Elektre do pałacu i tu ją przywiodą. W razie gdyby opór stawiała — siłą. *(straż wychodzi)* A wy na miejsca. Mężczyźni po prawej. Kobiety i dzieci po lewej. Tak, dobrze.

(chwila ciszy, Ajgistos czeka)

ARCYKAPŁAN Ci ludzie już nie dają rady...

AJGISTOS Wiem, jeśli straż...

(straż powraca)

JEDEN ZE STRAŻY Panie, szukaliśmy jej wszędzie, ale pałac jest pusty.

AJGISTOS Doskonale. Jutro to załatwimy. *(do Arcykaptana)* Zaczynaj

ARCYKAPŁAN Odwalić kamień!

TLUM Ha!

(straż odwala kamień. Arcykapłan podchodzi do grotty)

ARCYKAPŁAN O, wy zapomnieni, opuszczeni, rozgoryczeni, wy, którzy jak zatrute dymy włączycie się nisko po ziemi, wy, którzy już nic swojego nie macie oprócz rozpacz, wstańcie, o umarli, dziś wasze święto! Przyjdźcie, powstańcie z ziemi jak chmura siarkowa gnana przez wiatr, wynijdźcie z trzewi świata, o umarli, po stokroć umarli, wy, których na nowo zabija każde uderzenie naszych serc, przez gniew i gorycz, i żądę zemsty zaklinam was, przyjdźcie, oparem gęstym po ulicach naszych się rozwiejcie, wypełnijcie między nas, rozdzielcie matki od dzieci, rozdzielcie kochanków, abyśmy żalowali, że jeszcze żyjemy. Wstańcie, wampiry, larwy, duchy, widma, wstańcie, postrachy naszych nocy. Wstańcie, żołnierze, którzyście bluźniąc umarli, wstańcie, upokorzeni, nieszczęśliwi, głodni, których krzyk ostatni był krzykiem przekleństwa. Patrzcie, żywi tu na was czekają, żywy, thusty łup. Wstańcie, uderzcie jak huragan, siadźcie na nich i gryźcie do kości! Powstańcie! Powstańcie! Powstańcie!

(tam-tam. Arcykapłan tańczy przed wejściem do grotty, zrazu zwolna, później coraz prędzej, aż pada wyczerpany)

AJGISTOS Przyszli!

TLUM Zgroza!

ORESTES Dość już tego! Ja tu zaraz...

JUPITER Poczekaj, młody człowieku. Spójrz mi prosto w oczy. o tak, tak! Zrozumiałeś? A teraz bądź cicho.

ORESTES Ktoś ty?

JUPITER Dowiesz się później.

(Ajgistos schodzi powoli ze schodów wiodących do świątyni)

AJGISTOS Przyszli. *(chwila ciszy)* Przyszedł twój mąż, Aricjo, któregoś hańba okryła. Jest tu przy tobie. Całuje cię i pieści. Jak on cię ściska, jak kocha, jak nienawidzi! I matka twoja przyszła, Niciasie, która pozbawiona opieki umarła. I dłużnicy twoi też tu przyszli, Segestesie, lichwiarzu parszywy, ci, którzy w nędzy pomarli, i ci, którzy się wieszali, kiedyś ich do ruiny przyprowadzał. Przyszli, i oni dzisiaj są twoimi wierzycielami. I wy rodzice, czuli rodzice, opuście oczy, popatrzcie niżej ku ziemi. Widzicie: małe trupki wyciągają wychudłe ramionka, a wszystkie przyjemności, jakichście ich pozbawili, wszystkie udręki, jakich byliście przyczyną, ciążą jak olów na ich duszach zawistnych i smutnych.

TLUM Litości!

AJGISTOS Aha, litości! Nie wiecie, że zmarli nie znają litości? Ich żale są nieprzejezdne, bo ich bilans już na zawsze zamknięty. Może przez dobre uczynki, Niciasie, myślisz wynagrodzić krzywdę wyrządzoną swojej matce? Ale jaki dobry uczynek potrafi jeszcze do niej dotrzeć? Jej dusza jest jak skwarne południe bez powiewu, nic się w niej nie porusza, nic nie zmienia, nic nie żyje, wielkie, suche, zamarte w bezruchu słońce spala ją wiecznie. Umarli przestali istnieć — rozumiecie to bezlitosne słowo — po prostu przestali istnieć i dlatego są tak nieustępliwymi strażnikami waszych zbrodni.

TLUM Litości!

AJGISTOS Litości? Ha, kobotyni, czujecie dziś publiczność na widowni! Na twarzach, na rękach czujecie spojrzenia beznadziejnych i nieruchomych milionów par oczu. Widzą nas, widzą nas, nadzy jesteśmy przed zgromadzeniem umarłych. Ha, ha, czujecie się nader nieswojo: palą was te spojrzenia niewidoczne i czyste.

TLUM Litości!

MEŻCZYŹNI Przebaczcie nam, że żyjemy, podczas gdy wyście umarli!

KOBIETY Litości! Otaczają nas wasze twarze i przedmioty, które do was należały, wiecznie nosimy po was żalobę i od świtu do nocy, od nocy do świtu płaczemy. Ale nic na to poradzić nie można, wspomnienie o was zaciera się i umyka między palcami. Co dzień staje się ono bledsze, a my co dzień stajemy się bardziej winni. Opuszczacie nas, opuszczacie nas, wypływacie

z nas powoli, jak krew z rannego ciała. A jednak, jeżeli to może ucieszyć wasze dusze gniewne, o drodzy nasi zmarli, wiedźcie, żeście zmarnowali nam życie.

MEZCZYŻNI Przebacźcie nam, że żyjemy, podczas gdy wyście umarli.

DZIECI Litości! Nie prosiłyśmy o życie i ze wstydem rośniemy. W jaki sposób mogłybyśmy was obrazić? Spójrzcie na nas! Ledwie dychamy, drobne jesteśmy i chude. Przemykamy się przez życie bezszelstnie, nie dotykając nawet powietrza. I tak się was boimy, ach, tak strasznie boimy!

MEZCZYŻNI Przebacźcie nam, że żyjemy, podczas gdy wyście umarli.

AJGISTOS Spokój, cisza! Skoro wy tak lamentujecie, cóż powiem dopiero ja, wasz król. Bo oto rozpoczęła się moja udręka, ziemia drży i niebo chmurami się zasnuwa: największy z umarłych wynijdzie, ten, którego własnymi rękami zabiłem, Agamemnon.

ORESTES *(wyciągając miecz)* Ty rozpustniku! Nie pozwolę profanować w tych błazenadach imienia ojca mojego!

JUPITER *(łapiąc go wpół i zatrzymując)* Stój, młodzieńcze, zatrzymaj się!

AJGISTOS *(odwracając się)* Kto się ośmiela?... *(Elektra w białej sukni wychodzi na stopnie świątyni. Ajgistos spostrzega ją)* Elektro!

TŁUM Elektro!

Scena III

AJGISTOS Elektro, co znaczy ten strój?

ELEKTRA Włożyłam swoją najpiękniejszą suknię. Czyż dzisiaj nie święto?

ARCYKAPŁAN Przychodzisz zmarłych wyzywać? Dzisiaj ich święto, wiesz o tym dobrze i miałaś przywdziać strój żałobny.

ELEKTRA Żałobny? A niby dlaczego żałobny? Ja się moich umarłych nie boję, a waszych nie potrzebuję!

AJGISTOS Masz rację: twoi zmarli nie są naszymi zmarłymi. Spójrzcie, przebrana za dziewczkę stoi przed nami wnuczka Atrousza, który w sposób podstępny i podły zamordował swych bratanków. Jesteś ostatnią latoroślą tego przekłętego rodu. Z litości tolerowałem ciebie dotychczas w moim pałacu ale teraz widzę swój błąd i żałuję. Stara, zgniła krew Atrydów w tobie płynie i jeśli temu kresu nie położę, zarazisz nas wszystkich. Poczekał do jutra, ty suko, zobaczysz jak ja karać potrafię. Zapłacisz jeszcze tak, że ci lez zbraknie.

TŁUM Świętokradczyni!

AJGISTOS Słyszysz, nieszczęsna, gniewny pomruk ludu, słyszysz to imię, które padło z jego ust? Gdybym nie poskramiał wściekłości tłumu, rozszarpałby ciebie na miejscu!

TŁUM Świętokradczyni!

ELEKTRA Czy wesołość jest świętokradztwem? Dlaczego oni się nie weselą? Co im w tym przeszkadza?

AJGISTOS Ona się śmieje, chociaż jej ojciec umarł z krwią zaschniętą na twarzy jest tu wśród nas i patrzy na nią...

ELEKTRA Jak śmiesz wypowiadać imię Agamemnona? Skąd wiesz, czy on każdej nocy nie przychodzi rozmawiać ze mną? Skąd wiesz, czy głosem swoim chrapliwym nie szepcze mi słów miłości i żalu? Śmieję się, to prawda, po raz pierwszy w życiu śmieję się, jestem szczęśliwa. Dlaczego sądzicie, że szczęście córki nie raduje ojca? Jeśli to prawda, że on tutaj jest, jeśli to prawda, że widzi swoją córkę w białej sukni weselnej, tę córkę, którą poniżyliście i za niewolnicę mieli, jeśli widzi, że ona hardo czoło wznosi i że nieszczęście nie złamało jej dumy, to jestem pewna, że nie myśli mnie przeklinać. Oczy jego błyszczą w umęczonej twarzy i wargi skrwawione silą się na uśmiech.

MŁODA KOBIETA A jeżeli to prawda?

GŁOSY Nie, to kłamstwo, ona jest szalona. Elektro, odejdz, na litość, inaczej twoja bezbożność na nas się zemści.

ELEKTRA Ale czego wy się boicie? Obejrzyjcie się wokół siebie: tylko cienie wasze widać. Nikogo tu nie ma. Lecz powiem wam coś, o czym się dowiedziałam i o czym może nie wiecie. Są w Grecji szczęśliwe miasta. Spokojne,

białe miasta, wygrzewające się w słońcu jak jaszczurki. O tej samej godzinie, pod tym samym niebem na placach Koryntu dzieci się bawią. I matki ich nie błagają niebios o przebaczenie, za to, że je powiły. Patrzą na nie z uśmiechem i są z nich dumne. O matki z Argos, czy rozumiecie? Czy potraficie jeszcze pojąć dumę kobiety, która patrząc na swoje dziecko myśli: to ja nosiłam je w moim łonie.

AJGISTOS Czy przestaniesz wreszcie mleć tym jęzorem?

GŁOSY Z TŁUMU Tak, tak, dość tego! Zamilcz! Dość tego!

INNE GŁOSY Nie, niech mówi. Niech mówi! To Agamemnon przez jej usta przemawia.

ELEKTRA Słońce świeci. Wszędzie w dolinach ludzie podnoszą dziś głowy i mówią: „Słońce świeci”. I cieszą się. O, kaci samych siebie! Zapomnieliście już o zwyczajnym, prostym szczęściu rolnika, który stając po swojej ziemi myśli: „Słońce świeci”. Stoicie z opuszczonymi rękoma, pochyliliście głowy, boicie się oddychać. Wasi zmarli tulą się do was, a wy boicie się ruszyć, żeby przypadkiem którego nie szturchnąć. Prawda, to byłoby okropne, gdyby ręka wasza natrafiła nagle na jakiś opar wilgotny, duszę ojca lub dziada. Ale popatrzcie na mnie! Wyciągam ramiona, ręce rozkładam, przeciągam się jak człowiek, co budzi się ze snu, zajmuję moje miejsce pod słońcem, całe moje miejsce. I co, niebo wali mi się na głowę? Tańczę, patrzcie, ja tańczę i nic innego nie czuję jak tylko szum wiatru we włosach. Gdzież ci umarli? A może sądzicie, że tańczą razem ze mną, do taktu?

ARCYKAPŁAN Mieszkańcy Argos, zaiste powiadam wam, ta kobieta bluźni. Biada jej i biada nam, którzy jej słuchamy.

ELEKTRA O moi zmarli ukochani! Ifigenio, siostró moja, Agamemnonie, ojciec mój i królu jedyny, wysłuchajcie mojej modlitwy. Jeżeli bluźnię, jeżeli obrażam boleśnie wasze prochy, znak jakiś dajcie, dajcie mi zaraz znak, abym wiedziała. Ale jeżeli mi sprzyjacie, kochani moi, to zachowajcie milczenie. Błagam was, niech się listek żaden nie poruszy ani żadne źdźbło trawy, niech żaden szmer nie przerywa świętego mojego tańca: bo ja tańczę o radość, tańczę o pokój dla ludzi, tańczę o szczęście i o życie. O zmarli moi, błagam was o ciszę, aby ci ludzie wiedzieli, że duszą jesteście ze mną.

(tańczy)

GŁOS W TŁUMIE Tańczy! Spójrzcie! Tańczy w słońcu lekka jak płomień, jak chorągiew trzepocząca na wietrze, a zmarli milczą.

MŁODA KOBIETA Patrzcie na jej twarz w ekstazie. To nie jest twarz bezbożniczki! A więc, Ajgiście, Ajgiście? Nie odpowiadasz? Dlaczego nie odpowiadasz?

AJGISTOS Ja — dyskutować z jadowitą żmiją? Trzeba ją zdusić i zniszczyć. Niepotrzebnie ją wtedy oszczędziłem, ale można to jeszcze naprawić. Nie bójcie się, zdepczę tę żmiję, a wraz z nią zginie wreszcie jej ród.

TŁUM Pogrożki to jeszcze nie odpowiedź, Ajgiście! Nie masz nic innego do powiedzenia?

MŁODA KOBIETA Tańczy i śmieje się, jest szczęśliwa i zmarli zdają się ją ochraniać. Ach, szczęśliwa Elektro, spójrz, ja też ramiona ku słońcu wyciągam i pierś zgnębioną podnoszę.

GŁOSY W TŁUMIE Umarli milczą. Okłamywałeś nas, Ajgiście!

ORESTES Droga Elektra!

JUPITER Dam ja zaraz nauczkę smarkuli. (wyciąga rękę) Posidon karibu karibon lullaby.

(ciężki kamień, który bronił wejścia do groty, z hałasem rozbija się o schody świątyni, Elektra przestaje tańczyć)

TŁUM Zgroza!

(długa chwila ciszy)

ARCYKAPŁAN To umarli się mszczą, o ludu tchórzliwy i płochy! Czarne chmury much nas opadają. Słuchaliście tych bluźnierstw i teraz jesteśmy przeklęci.

TLUM Myśmy nie zgrzeszyli, to nie nasza wina. Przyszła i omamiała nas swoimi zatrutymi słowami. Do rzeki czarownicę, do rzeki. Na stos!

STARA KOBIETA (*wskazując Młodą Kobietę*) I tę tutaj, która jej słowa jako miód piła, rozbierzcie z sukien i naga biczujcie do krwi.

Tlum rzuca się na Młodą Kobietę, kilku mężczyzn wbiega na schody świątyni ku Elektrze

AJGISTOS (*odzyskał przewagę*) Spokój, psy! Idźcie na miejsce i mnie pozostawcie karę. (*chwila ciszy*) Widzieliście, że nieposłuszeństwo nie popłaca. Będziecie jeszcze we mnie wątpić? Wracajcie teraz do domu, pójdą za wami zmarli i będą waszymi gośćmi przez dzień cały i noc całą. Miejsce im zrobicie u stołu i przy kominku, i w łóżku, i starajcie się, aby widząc wasze nienaganne zachowanie chcieli zapomnieć o tym, co tu było. Co do mnie, to przebaczam wam, choć wasze słowa mnie zabolęły. Ty zaś, Elektro...

ELEKTRA Co? Nie udało mi się dzisiaj. To może uda się następnym razem.

AJGISTOS Nie będzie następnego razu. Prawa naszego miasta zabraniają karać w dzień świąteczny. Wiedziałaś o tym i nadużyłaś mej dobroci. Ale nie jesteś już obywatelką tego miasta. Wypędzam cię. Wyjdiesz z miasta boso, bez niczego, jedynie z tą suknią plugawą na sobie. Jeżeli do rana nie opuścisz naszych murów, rozkazuję, aby ktokolwiek cię spotka, jak owcę parszywą zabił.

(wychodzi, za nim straż. Tlum wygrażając pięściami przechodzi przed Elektra)

JUPITER (*do Orestesa*) No i cóż, panie? Jesteś zbudowany? Albo się mylę, albo bardzo to było budujące: źli zostali ukarani, a dobrzy wynagrodzeni. (*wskazując na Elektrę*) Ta kobieta...

ORESTES Ta kobieta, głupcze, jest moją siostrą! Odejdź, chcę z nią pomówić.

JUPITER (*patrzy na niego przez chwilę i wzrusza ramionami*) Jak chcesz

(wychodzi, za nim Pedagog)

Scena IV

ORESTES Elektro!

ELEKTRA (*podnosi głowę i patrzy na niego*) To ty, Filebie?

ORESTES Elektro, nie możesz dłużej pozostawać w tym mieście. Jesteś w niebezpieczeństwie.

ELEKTRA W niebezpieczeństwie? Tak, to prawda. Widziałeś, jak się zblamałam. To trochę przez ciebie, wiesz, ale nie mam ci tego za złe.

ORESTES Przeze mnie? Dlaczego?

ELEKTRA Oszukałeś mnie. (*schodzi do niego*) Pozwól mi popatrzeć na ciebie. Tak, urzekły mnie twoje oczy.

ORESTES Czas nagli, Elektro. Słuchaj: wyjedziemy razem. Pewien człowiek obiecał dostarczyć mi koni. Zabiorę cię ze sobą.

ELEKTRA Nie.

ORESTES Nie chcesz ze mną uciekać?

ELEKTRA Nie chcę uciekać!

ORESTES Zabiorę cię do Koryntu.

ELEKTRA (*śmiejąc się*) Do Koryntu... Widzisz, nie robisz tego naumyślnie, ale znów mnie okłamujesz. Cóż ja bym tam robiła? Trzeba być rozsądną. Jeszcze wczoraj miałam tylko jedno skromne pragnienie: kiedy usługiwałam do stołu królewskiej parze, widziałam poprzez opuszczone rzęsy tę wyleniałą piękność o trupiej twarzy i grubego, bladego mężczyznę z obłęsnymi wargami i krechą czarnej brody od ucha do ucha. I o niczym innym nie marzyłam, tylko żeby zobaczyć kiedyś, jak z brzuchów ich otwartych idzie para, leciutka para, bijąca prosto w powietrze, jak oddech w zimowy, mroźny ranek. Tylko tego pragnęłam, Filebie, tylko tego. Ja nie wiem, czego ty pragniesz, ale nie powinnam tobie zawierzyć. Twoje oczy nie są skromne. Wiesz, zanim cię poznałam, zdawało mi się, że prawdziwy mędrzec niczego tak nie powinien pożądać na ziemi jak odplacenia za zło, które mu wyrządzono.

ORESTES Jeżeli pójdziesz ze mną, Elektro, dowiesz się, że można pożądać także innych rzeczy nie przestając być mędrcom.

ELEKTRA Nie chcę już ciebie słuchać. Zbyt wielką wyrządziłeś mi krzywdę. Przyszedłeś tu z tymi wygłodniałymi oczyma w słodkiej dziewczęcej twarzy i od razu zapomniałam o mojej nienawiści. Rozwarłam dłonie i upuściłam na ziemię mój skarb jedyny. Pomyślałam sobie, że słowami uda mi się może uzdrowić tych ludzi. Widziałeś, co się stało: kochają oni ten swój ból, potrzebują tej rany krwawiącej, mielęgnują ją pieczołowicie i rozdrapują brudnymi paznokciami. Siłą uzdrowić ich trzeba. Bo tylko złem można zło przezwyciężyć. Żegnaj, Filebie, odejdz, pozostaw mnie moim niezdrowym marzeniom.

ORESTES Zabija ciębie.

ELEKTRA Jest tu świątynia, przybytek Apollona. Zbrodniarze czasem się tam chowają, bo póki tam są, włos spaść im z głowy nie może. Tam się schowam.

ORESTES Dlaczego odrzucasz moją pomoc?

ELEKTRA Bo nie od ciebie jej się spodziewam. Kto inny przyjdzie mnie wyzwolić. (chwila) Wiem, że brat mój nie umarł. Czekam na niego!

ORESTES A jeśli nie przyjdzie?

ELEKTRA Przyjdzie, nie może nie przyjść. On jest z mojego rodu, rozumiesz? Tak jak ja zbrodnię i nieszczęście ma we krwi! To urodzony żołnierz, gniewny, porywczy, na pewno ma te same przekrwione oczy ojca. Męczy się okrutnie, zaplątał się we własny los tak, jak konie z rozdartymi brzuchami płaczą nogi w jelita, i teraz za każdym uczynionym krokiem wydiera sobie wnętrzności. Przyjdzie, wiem, ciągnie go to miasto, bo tu najwięcej zła może zrobić, tu najwięcej bólu sobie zadać. Przyjdzie z opuszczonym czołem, cierpiący i niecierpliwy. Boję się go. Każdej nocy widzę go we śnie i z krzykiem się budzę. Ale czekam na niego, kocham go. Muszę tu pozostać, aby gniewem jego kierować, bo ja mam głowę na karku, muszę tu pozostać, by winnych wskazując palcem, powiedzieć mu: „Bij, Orestesie, bij, oto oni“.

ORESTES A gdyby nie był taki, jakim go wyśniłaś?

ELEKTRA Syn Agamemnona i Klitajmestry nie może być inny.

ORESTES A gdyby wychowany w szczęśliwym jakimś mieście, daleko stąd, miał już dość krwi?

ELEKTRA Plunęłabym mu w twarz i powiedziała: „Idź, psie, idź sobie między baby, bo jesteś tylko babą. Ale pomyliłeś się, nic z tego. Jesteś wnukiem Atreusza i nie umkniesz przeznaczeniu Atrydy. Wolałeś hańbę od zbrodni, twoja sprawa. Ale przeznaczenie nawet w łóżku cię doścignie, okryjesz się najpierw hańbą, a później i tak popełnisz zbrodnię, choćbyś nie wiem jak nie chciał“.

ORESTES Elektro, ja jestem Orestes!

ELEKTRA (krzyczy) Kłamiesz!

ORESTES Przysięgam na prochy ojca mego, Agamemnona — jestem Orestes. (chwila ciszy) No i co? Dlaczego nie plujesz mi w twarz?

ELEKTRA Jakżebyś mogła. (przygląda mu się) To czoło piękne to jest czoło mego brata. Te oczy błyszczące to oczy mego brata. Orestes... Ach, wolałabym, żebyś był Filebem, a brat mój nie żył. (nieśmiało) To prawda, że mieszkałeś w Koryncie?

ORESTES Nie, wychowałem się w Atenach.

ELEKTRA Tak młodo wyglądasz! Czyś już walczył kiedy? Czy użyłeś już kiedy miecza?

ORESTES Nigdy.

ELEKTRA Czułam się mniej osamotniona, kiedy ciebie jeszcze nie znałam. Czułam na Orestesa. Myślałam zawsze o jego sile, nigdy o swojej słabości. A teraz przyszedłeś, Orestes to ty. Patrzę na ciebie i widzę, że jesteśmy dwojgiem biednych sierot. (pauza) Ale kocham ciebie, wiesz? Może nawet więcej, niżbym tamtego kochała.

ORESTES Jeżeli mnie kochasz, chodź, ucieknijmy razem.

ELEKTRA Uciekać? Z tobą? Nigdy! Tu rozgrywają się losy Atrydów, a ja jestem z rodu Atrydów. O nic ciebie nie proszę, o nic, Filebie, nie proszę.

Ale ja tu zostanę.

(Jupiter pojawia się w głębi sceny i zaczyna ich podsłuchiwać)

ORESTES Elektro, jestem brat twój, Orestes. I ja jestem Atrydą. Obok mnie twoje miejsce.

ELEKTRA Nie. Nie jesteś moim bratem, nie znam ciebie. Orestes umarł, tym lepiej dla niego. Odtąd pamięć jego będę opłakiwać na równi z pamięcią ojca i siostry. Lecz ty, który sięgasz po imię Atrydy, kim jesteś, że cię stać na tę śmiałość? Czym na nie zasłużyłeś? Czyś życie całe spędził w cieniu zbrodni? Na pewno byłeś grzecznym chłopczykiem o mądrym, poważnym spojrzeniu. Twój przybrany ojciec był z ciebie dumny, byłeś zawsze czystutki, umyty, twoje oczy błyszczały zaufaniem. Ufałeś ludziom, bo uśmiechali się oni do ciebie, ufałeś stołom, łóżkom, schodom, bo to wszystko są wierne sługi człowieka, ufałeś życiu, bo byłeś bogaty i zawsze miałeś dużo zabawek. Nieraz na pewno myślałeś, że w gruncie rzeczy świat nie jest taki zły i że przyjemnie będzie pograć się w nim z lubością, jak w rozkosznej ciepłej kąpieli. Ja gdy miałam sześć lat, byłam już służącą i nie ufałam niczemu. *(pauza)* Idź, pięknoduchu. Nie potrzebuję pięknoduchów. Czekałam na buntownika.

ORESTES Myślisz, że zostawię cię samą? Cóż poczniesz straciwszy ostatnią nadzieję?

ELEKTRA To moja sprawa. Żegnaj Filebie.

ORESTES Wypędzasz mnie? *(robi parę kroków i zatrzymuje się)* Czy to moja wina, że nie jestem podobny do mściwego żołdaka, na którego czekałaś? Wzięłabyś go za rękę i powiedziała: „Bij!” Mnie nie prosiłaś o nic. Kimże ja jestem, do diabła, skoro własna siostra mnie odpycha zanim mnie jeszcze wypróbowała?

ELEKTRA O, Filebie. Nigdy bym nie potrafiła obarczyć takim ciężarem twojego serca nie znającego nienawiści.

ORESTES Nie znającego nienawiści mówisz? Nienawiści! I tak samo nie znającego miłości. Ciebie mógłbym kochać. Mógłbym... Ale co z tego? Kochając czy nienawidząc trzeba oddać się bez reszty. To piękne, taki człowiek stojący mocno obydwiema nogami na ziemi, pełen krwi szlachetnej i gorącej, który pewnego pięknego poranku oddaje się miłości czy nienawiści, a wraz z sobą oddaje swoją ziemię, i swój dom, i wspomnienia. A ja kim jestem i cóż dać mogę? Zaledwie żyję: każda z tych mar błądzących dzisiaj po ulicach miasta jest bardziej rzeczywista ode mnie. Znałem uczucia żłudne i zwiewne jak opary, ale obce mi są prawdziwe namietności żywych ludzi. *(pauza)* O wstydzie! Wróciłem do swego rodzinnego miasta i siostra moja mnie odtrąciła. Gdzie mam teraz iść? Po jakich znów miastach się włóczyć?

ELEKTRA Na pewno czeka gdzieś na ciebie młoda i piękna dziewczyna.

ORESTES Nikt na mnie nie czeka. Chodzę od miasta do miasta, obcy zarówno innym ludziom jak i sobie, a one otwierają się przede mną i zamykają za mną niewzruszone i spokojne jak tafla wody. Gdy opuszczę Argos, co zostanie tu po mnie oprócz rozczarowania, gorzkiego rozczarowania w twoim sercu.

ELEKTRA Mówiłeś, że jest tyle szczęśliwych miast...

ORESTES Co mi tam szczęście! Chcę odzyskać swoje wspomnienia, swoją ziemię, swoje miejsce wśród mieszkańców Argos. *(chwila ciszy)* Elektro, ja stąd nie pójdę.

ELEKTRA Filebie, odejdz, błagam cię. Szkoda mi ciebie, odejdz, jeśli ci jestem droga. Spotkać cię może tylko nieszczęście, a twoja niewinność niechybnie pokrzyżuje moje plany.

ORESTES Nie odejdę.

ELEKTRA I ty myślisz, ty, duszyczko czysta, że pozwolę ci zostać, że ci pozwolę być onieśmielającym, milczącym sędzią moich czynów, co? Dlaczego się upierasz? Nikomu tu nie jesteś potrzebny.

ORESTES To jest moja ostatnia szansa. Nie odmawiaj mi jej. Elektro. Zrozum — ja chcę być człowiekiem skądś, człowiekiem wśród innych ludzi. Patrz, ten zmęczony niewolnik z grymasem na twarzy, co dźwiga ciężki wór i powłóczy nogami, i patrzy tylko, żeby nie upaść, ten niewolnik jest

w środku swojego miasta, jak liść w gąszczu listowia, jak drzewo w Argos ciężkie i nagrzane, sobą jedynie zaprzątnięte, otacza go ze wszystkich stron. Ja chcę być tym niewolnikiem, Elektro, chcę mieć poczucie woli siebie i owinać się w nie jak w koc. Nie pójdę stąd.

ELEKTRA Gdybyś tu nawet sto lat mieszkał, zawsze będziesz obcy i samotny, bardziej samotny niż na rozległym gościńcu. Ludzie będą wkiem na ciebie patrzeć spod na wpół przymkniętych powiek i na twój widok będą zniżać głos.

ORESTES Więc tak trudno służyć temu miastu? Moje ramię może bronić jego murów, a dla waszych biednych mam dość złota.

ELEKTRA Żołnierzy nam nie brak ani dusz dobroczynnych...

ORESTES Więc... *(zamyślony, ze spuszczoną głową stawia parę kroków w zamyśleniu. Jupiter pokazuje się w głębi i patrząc na niego zakiera ręką. Orestes podnosi głowę)* Gdybym przynajmniej widział jasno... O Zeusie, Zeusie, królu nieba, rzadko się do ciebie zwracałem, a i ty niezbyt mi byłeś przychylny, choć wiesz, że zawsze Dobro tylko miałem na celu. Ale teraz jestem zmęczony, nie odróżniam już Zła od Dobra, musisz mi teraz pomóc. Zeusie, czy rzeczywiście syn królewski, wygnany z miasta rodzinnego, ma zgodzić się na wygnanie i wynieść się cicho, tuląc ogon pod siebie jak obity pies? Czy taka jest twoja wola? To niemożliwe! A jednak! Jedinak wzbraniaś rozlew krwi... Ale o jakim rozlewie krwi mowa, już sam nie wiem, co mówię... Zeusie, błagam ciebie, jeżeli rezygnacja i pokora, i hańba są twoim prawem, daj mi znak jakiś, wskaż swoją wolę, bo ja już naprawdę nie wiem.

JUPITER *(do siebie)* Ależ nic łatwiejszego. Służę. Abraxas, abraxas, tse, tse.
(wokół kamienia rozpala się nagle jasność)

ELEKTRA *(zaczyna się śmiać)* Cała kaskada cudów, jeden po drugim. Widzisz, cny Filebie, widzisz, co się zyskuje pytając bogów o radę. *(śmieje się śmiechem obłąkanej)* Ach, cóż za budujący widok, jaki pobożny ten Fileb: „Daj mi znak, Zeusie, daj mi znak”. I natychmiast światłość wiekuista zapala się wokół świętego kamienia. Na co czekasz? Idź do Koryntu. Do Koryntu! No idź!!!

ORESTES Więc Dobro to właśnie to. *(pauza, ciągle wpatrzony w kamień)* Zgłoś kark. Stulić pysk. Mówić co chwila „przepraszam”, „dziękuję”... To jest Dobro. *(pauza, ciągle wpatrzony w kamień)* Dobro... Ich Dobro... *(pauza)* Elektro!

ELEKTRA Idź prędko, uciekaj! Nie możesz zawieść mądrej niani, która czuwa nad tobą ze szczytu Olimpu. *(przerywa, zdziwiona)* Co ci jest?

ORESTES *(zmienionym głosem)* Jest inna droga.

ELEKTRA *(przestraszona)* Nie strasz, Filebie, tu nie ma kogo straszyć. Pytałeś bogów o rozkazy. Teraz je znasz...

ORESTES Rozkazy?... Aha, tak... Mówisz o tym świetle, tu koło tego kamienia. Nie dla mnie to światło i nikt mi już rozkazów wydawać nie będzie.

ELEKTRA Dlaczego tak tajemniczo się wyrażasz?

ORESTES Taka jesteś nagle daleka... Wszystko się tak zmieniło! Było wokół mnie coś żywego i ciepłego. Coś, co umarło. Jakie wszystko jest puste... Ach, jaka pustka ogromna, wszędzie pustka... *(stawia parę kroków)* Noc zapada... Czujesz ten ziąb?... Ale co to... co to umarło?

ELEKTRA Filebie...

ORESTES Mówię ci, jest inna droga... moja droga. Nie widzisz jej? Wychodzi stąd i ku miastu się zniża. Zniżyć mi się trzeba, rozumiesz, zniżyć do was. Jesteście na dole jamy, tam na samym dole. *(podchodzi do Elektry)* Jesteś moją siostrą, Elektro, i to miasto jest moim miastem. Siostra moja. *(bierze ją za rękę)*

ELEKTRA Puść mnie! Boli mnie ręka, boję się ciebie, ja wcale nie jestem twoja.

ORESTES Wiem. Jeszcze nie jesteś moja. Jestem zbyt lekki. Muszę obciążyć się najpierw porządnym balastem zbrodni, ona ściągnie mnie w dół, do miasta.

ELEKTRA Co ty zamierzasz?

ORESTES Poczekaj. Pozwól pożegnać mi najpierw moją dawną nieskalaną lekkość. Pozwól mi młodość pożegnać. Są takie wieczory w Koryncie i w Atenach, pełne śpiewów, zapachów i woni, które już nigdy nie będą do mnie należały. I takie poranki pełne nadziei... Trudno, żegnajcie, żegnajcie! (podchodzi do Elektry) Chodź, Elektro, patrz na nasze miasto. Leży u naszych stóp, czerwone w słońcu, brzęczące ludźmi i muchami w upartym odrętwieniu letniego wieczoru. Odpycha mnie wszystkimi murami, wszystkimi dachami, wszystkimi zaryglowanymi drzwiami. Ale przecież jest ono do zdobycia, wiem o tym od rana. I ty, Elektro, i ty jesteś do zdobycia. I zdobędę was. Toporem się stanę i przerąbię te mury uparte, porozpruwam brzuchy tych domostw, a one ze swych ran otwartych wyzioną zapachy żarcia i kadzidła. Będę ostrzem siekiery i wbiję się w serce tego miasta, jak ostrze siekiery wbija się w serce dębu.

ELEKTRA Jakże się zmieniłeś: twoje oczy już nie błyszczą, tylko są matowe i ciemne. Niestety! Taki byłeś miły, Filebie! A teraz przemawiasz do mnie, jak tamten mówił we śnie.

ORESTES Słuchaj... Pomyśl, gdybym spróbował wziąć na siebie wszystkie zbrodnie tych ludzi, którzy teraz w ciemnych pokojach dręczą się pośród swoich ukochanych zmarłych. Pomyśl, gdybym chciał zasłużyć na miano „złodzieja wyrzutów sumienia“ i wziąć na siebie wszystkie ich pokuty. I pokutę żony, co męża zdradzała, i kupca, co opuścił matkę w agonii, i lichwiarza, co życie wysysał z dłużników. Powiedz, gdy wezmę na siebie wyrzuty sumienia, których jest więcej niż much w mieście, wszystkie wyrzuty sumienia całego miasta, czy wtedy nie zdobędę prawa obywatelstwa wśród was? Czy wtedy, w tych waszych krwawych murach nie poczuje się wreszcie u siebie, jak rzeźnik czuje się u siebie w jatce, wśród poćwiartowanego przed chwilą wołu?

ELEKTRA Chcesz za nas odpokutować?

ORESTES Odpokutować? Powiedziałem, że skruczy wasze i pokuty wezmę na siebie, ale jeszcze nie powiedziałem, co z tym ptactwem krzykliwym zrobię. Może łeb ukręcę.

ELEKTRA Ale w jaki sposób myślisz wziąć na siebie to nasze zło?

ORESTES Tylko marzycie o tym, żeby się go pozbyć. Jedynie król i królowa siłą utrzymują je w waszych sercach.

ELEKTRA Król i królowa... Filebie!

ORESTES Bogowie świadkami, że nie chciałem ich krwi przelewać.

(długa cisza)

ELEKTRA Za młody jesteś, za słaby...

ORESTES Teraz się cofasz? Ukryj mnie w pałacu, zaprowadź wieczorem do królewskiego łóża, a zobaczysz, czym słaby.

ELEKTRA Orestesie!

ORESTES Elektro! Po raz pierwszy nazwałaś mnie Orestesem.

ELEKTRA Tak. To ty. Orestes. Nie poznaję ciebie, bo inaczej sobie ciebie wyobrażałam. Ale ów gorzki smak w ustach, smak gorączki, tysiące razy w snach go moich czułam i ten smak poznaję. Przyszedłeś więc, Orestesie, i zamiar twój już powzięty, i stoję oto jak w moich snach u progu nieodwracalnego już czynu, i boję się, jak w moich snach. O chwilo, której tak oczekiwałam i tak jednocześnie się bałam. Teraz wszystko będzie następowało po sobie i zazębiało się jak kółka mechanizmu, i nie spoczniemy, dopóki ci dwoje nie będą leżeli na wznak, z twarzami koloru rozgniecionych jeżyn. Tyle krwi! I pomyśleć, że to ty ją przelejesz, choć miałeś takie dobre oczy. Niestety, już nigdy nie ujrzę tego łagodnego spojrzenia, nigdy już Fileba nie zobaczę. Orestesie, jesteś moim starszym bratem i głową rodziny. Weź mnie w ramiona, ochroń mnie, bo czekają nas wielkie cierpienia.

(Orestes bierze ją w ramiona. Jupiter wychodzi z kryjówki i oddala się na palcach)

OBRAZ DRUGI

Pałac, sala tronowa. Posąg Jupitera, krwawy, okrutny. Dzień ma się ku schyłkowi

Scena I

(Elektra wchodzi pierwsza i kiwa ręką, za nią Orestes)

ORESTES Ktoś idzie. *(chwytając za miecz)*

ELEKTRA Ront. Chodź, tu się schowamy. *(chowają się za tronem)*

Scena II

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Co się tym muchom działo? Latają jak opętane.
DRUGI ŻOŁNIERZ Czują trupa i dlatego takie zadowolone. Już się nawet ziewnąć boję, żeby ich do gęby nie nałapać. Co sobie mają karuzelę w moim gardle wyprawiać. *(Elektra wygląda i znika)* Posłuchaj, coś skrzypnęło.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ To Agamemnon usiadł na tronie.

DRUGI ŻOŁNIERZ I tyłkiem tak przydusił deski, że skrzypnęły? Nie, bracie, to niemożliwe, zmarli nic nie ważą.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Biedni, rzeczywiście nie ważą wiele. Ale ten tu, zanim stał się królewską padliną, był też królewskim obżartuchem i zawsze ważył te swoje sto dwadzieścia pięć kilo. Musiało mu z nich zostać parę funtów po śmierci.

DRUGI ŻOŁNIERZ Myślisz... Myślisz, że on jest tutaj?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ A gdzie może być? Ja, gdybym był zmarłym królem i miał co roku dwadzieścia cztery godziny wychodnego, nie bym innego nie robił, tylko siedział cały czas na tronie i wspominał dawne dobre lata, nie czyniąc nikomu krzywdy.

DRUGI ŻOŁNIERZ Tak, bo jeszcze żyjesz. Gdybyś nie żył, byłbyś taki sam sukinsyn jak i oni. *(tamten wymierza mu policzek)* Co ty, zwariowałeś?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ To dla twojego dobra. Popatrz, siedem ukatrupiłem za jednym zamachem, całą chmarę.

DRUGI ŻOŁNIERZ Trupów?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Nie. Much. Mam pełno krwi na ręce. *(wyciera rękę o spodnie)* Świnie nie muchy.

DRUGI ŻOŁNIERZ Oj, żeby już wszystkie wyzdychały. Widzisz jak przyzwyczajone zachowują się umarli: nie wtrącają się do nas, starają się jak najmniej przeszkadzać. Ze zdechłymi muchami byłoby tak samo.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Daj spokój. Gdybym miał jeszcze wierzyć w zmarłe muchy, że latają po pałacu, to już naprawdę...

DRUGI ŻOŁNIERZ A niby dlaczego nie?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Rozumiesz, co by to było? Tego paskudztwa zdycha miliony dziennie. Gdyby przyleciały tu wszystkie, które zginęły od zeszłego roku, to na każdą żywą muchę przypadłoby trzysta sześćdziesiąt pięć zdechłych. Fuj! Powietrze byłoby słodkie od much, jadłoby się muchy, oddychałoby się muchami, wszystkimi otworami wlewałyby się do środka, do płuc i jelit... Słuchaj, a może to właśnie dlatego tak dziwnie jakoś tu pachnie?...

DRUGI ŻOŁNIERZ Et! Na taką salę jak ta, tysiąc stóp kwadratowych, wystarczy parę ludzkich trupów, żeby już śmierdziało. Zresztą naszym zmarłym podobno czuć trochę z ust.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Słuchaj! Słyszysz, jak oni się szamoczą?

DRUGI ŻOŁNIERZ Mówię ci, coś w tym jest, podłoga tak trzeszczy...

(zaglądają za tron z prawej strony. Z lewej wychodzą Orestes i Elektra, przechodzą przez stopnie tronu i nikną znów po prawej, podczas gdy żołnierze wychodzą po lewej)

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Widzisz, nie ma nikogo. Mówię ci, to Agamemnon. Usiadł sobie na poduszkach wyprostowany jak drut i gapi się na nas, nudzi mu się, gapi się na nas, bo co ma robić.

DRUGI ŻOŁNIERZ Nie machaj tak rękami. Trzeba jakoś trzymać fason, chociaż muchy tną w nos jak cholera.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ Z tego wszystkiego już bym wolał rznąć w karty na odwachu. Tam przynajmniej jeśli chodzą jakie duchy, to duchy kolegów, takich samych fajfusów jak my. A jak pomyślę, że tu siedzi trup króla i wypatruje, czy mi jakiegoś guzika nie brak u kaftana, to mi tak jakoś nieswojo, czuję się jak na przeglądzie.

(wchodzi Ajgistos, Klitajmestra, służący z pochodniami)

AJGISTOS Zostawcie nas samych.

S c e n a III

KLITAJMESTRA Co ci jest?

AJGISTOS Widziałaś? Gdybym ich trochę nie nastraszył, pozbyliby się w mig wszystkich wyrzutów sumienia.

KLITAJMESTRA Też mi zmartwienie! Ty sobie zawsze z nimi poradzisz.

AJGISTOS Może i masz rację. Miny umiem stroić niezgorsze. *(pauza)* Żałuję, że musiałem ukarać Elektrę.

KLITAJMESTRA Dlatego, że to moja córka? Podobają ci się tak uczynić, a wiesz, że dla mnie wszystko, co robisz, jest święte.

AJGISTOS Nie dlatego żałuję.

KLITAJMESTRA Więc dlaczego? Przecież zawsze jej nie lubiłeś?

AJGISTOS Zmęczony jestem. Od piętnastu lat dźwigam na ramionach skurczę całego narodu. Od piętnastu lat ubieram się jak strach na wróble. Te czarne suknie w końcu zafarbowwały mi duszę na czarno.

KLITAJMESTRA Ależ, panie, ja sama...

AJGISTOS Tak, wiem, wiem. Będiesz mi mówiła o swoich wyrzutach sumienia. Zazdroszczę ci, one przynajmniej wypełniają twoje życie. Ja ich nie odczuwam i w całym mieście nikt nie ma takiego smutnego życia jak ja.

KLITAJMESTRA Panie mój, drogi... *(podchodzi do niego)*

AJGISTOS Odejdź... ty... Wstydzilibyś się... Na jego oczach!

KLITAJMESTRA Na jego oczach? A kto nas widzi?

AJGISTOS Jak to kto? Król. Rano wypuściliśmy umarłych.

KLITAJMESTRA Błagam cię, przestań... Umarli leżą w ziemi i wcale nie myślą nam przeszkadzać. Przecież sam wymyśliłeś te bajki dla ludu, zapomniałeś już o tym?

AJGISTOS Prawda. No, widzisz, jaki jestem zmęczony! Zostaw mnie, chcę się trochę skupić.

(Klitajmestra wychodzi)

S c e n a IV

AJGISTOS Oj, Jupiterze, czy aby o takim królu marzyłeś dla Argos? Chodzę, doglądam, potrafię krzyknąć, gdy trzeba, straszę ludzi swoim wyglądem do tego stopnia, że od razu poczucie winy przenika ich do szpiku kości. Ale jestem jak pusta skorupa. Jakiś owad wygryzł mi wnętrze, nim się spostrzegłem. A teraz, gdy patrzę w siebie, widzę, że jestem tak samo nieżywy jak Agamemnon. Mówiłem, że jestem smutny? To nieprawda. Pustynia nie jest ani smutna, ani wesola. Jest tylko okrutnie bezwzględna. Co ja bym dał, żeby choć raz móc zapłakać.

(wchodzi Jupiter)

S c e n a V

JUPITER Nie masz znowu powodu się skarżyć, wszyscy królowie są tacy.

AJGISTOS Ktoś ty? Po coś tu przyszedł?

JUPITER Nie poznajesz mnie?

AJGISTOS Precz stąd, bo zawołam strażę.

JUPITER Nie poznajesz? Już mnie przecież widziałeś. Było to wprawdzie we śnie. I miałem nieco groźniejszą minę. (pioruny, błyskawice, Jupiter przybiera groźny wyraz twarzy) A teraz?

AJGISTOS Jupiter!

JUPITER Otóż to właśnie. (staje się na powrót uśmiechnięty, podchodzi do posągu) To niby ja? Takim mnie podczas modłów widzą mieszkańcy Argos. To ciekawe, bogom rzadko się zdarza oglądać swój wizerunek z tak bliska. (pauza) Bardzo jestem brzydki! Chyba mnie zbytnio nie kochają, co?

AJGISTOS Boją się ciebie.

JUPITER A to świetnie. Na nic mi ich miłość. A ty mnie kochasz?

AJGISTOS Czego ty jeszcze chcesz ode mnie? Czy nie dość płacę?

JUPITER Nigdy za wiele.

AJGISTOS Ja już nie mogę, nie daję rady.

JUPITER Nie przesadzaj. Doskonale wyglądasz, jesteś jeszcze zupełnie tusty. Zresztą wcale ci tego nie wymawiam. Dobry ten tłuszcz królewski, żółciutki jak воск. Zdrowy. Taka kondycja, ho, ho! Jeszcze ze dwadzieścia lat pożyjesz.

AJGISTOS Dwadzieścia lat!

JUPITER A co, chciałbyś już umierać?

AJGISTOS Tak.

JUPITER I gdyby wszedł do tej sali zabójca z mieczem obnażonym, nastawiłbyś pierś?

AJGISTOS Nie wiem.

JUPITER Posłuchaj mnie uważnie: owóż jeśli dasz się zarżnąć jak cielak, ukarzę cię przykładnie. W piekło na wieki zostaniesz królem. Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć.

AJGISTOS Ktoś nastaje na moje życie?

JUPITER Podobno.

AJGISTOS Elektra?

JUPITER Ktoś jeszcze.

AJGISTOS Kto?

JUPITER Orestes.

AJGISTOS Aha! (pauza) Tak musiało być. Co ja na to mogę poradzić.

JUPITER „Co ja na to mogę poradzić?” (zmieniając ton) Każ aby natychmiast pojmano młodego cudzoziemca imieniem Fileb. Wtrąć go razem z Elektrą do ciemnicy i zapomnij o nich. No? Na co czekasz? Wołaj strażę.

AJGISTOS Nie.

JUPITER Może byłbyś łaskaw mi powiedzieć, dlaczego nie?

AJGISTOS Jestem zmęczony.

JUPITER Czemu głowę spuściłeś. Podnieś no te oczy przekrwione. Tak, tak! Szlachetny jesteś i głupi jak koń. Ale twój opór mnie wcale nie gniewa. Przeciwnie, tym słodsze będzie później moje zwycięstwo. Bo wiem, że i tak w końcu ulegniesz.

AJGISTOS Mówię ci, że mam już dosyć tego wszystkiego. Jak na mnie, i tak niemało zrobiłem.

JUPITER Tak, ładnie, ładnie! Opieraj się jeszcze. Lubię takie dusze odporne. Oczy ci błyskają, pięści zaciskasz i odważnie patrząc mi w oczy mówisz — nie. A ja przecież wiem, ty głuptasie, ty koniu stary, ty koniu narowisty, że twoje serce dawno powiedziało — tak. Przecież wiem, że mi będziesz posłuszny. Myślisz, że ja tak bez powodu Olimp opuszczam? Chciałem cię przestrzec przed tą zbrodnią, chciałem ją uniemożliwić.

AJGISTOS Przestrzec mnie? To bardzo dziwne.

JUPITER Przeciwnie, jak najbardziej normalne. Chcę uchronić cię od śmierci.

AJGISTOS Kto ciebie o to prosił? Czy Agamemnona też przestrzegałeś? A przecież on też chciał żyć.

JUPITER Cóż za niewdzięcznik, coż za osioł uparty. Jesteś mi droższy od Agamemnona. Daję ci na to dowód, i to jaki dowód, a ty się skarżysz.

AJGISTOS Jestem ci droższy od Agamemnona? Ja? Nieprawda, chodzi o Orestesa. Pozwoliłeś mi się zgubić, pozwoliłeś mi biec z siekierą w ręku prosto do wanny królewskiej i pewnie ślinka ci z buzi leciała, tam w górze, na

myśl, jak smakowita jest dusza grzesznika. Ale dziś Orestesa chcesz przed nim samym obronić i mnie, któregoś popchnął do zamordowania ojca, każesz rękę syna powstrzymać. Ja byłem akurat dobry na mordercę. Ale Orestes, gdzie tam, inne mamy pewno na niego widoki.

JUPITER Cóż za dziwaczna zazdrość. Uspokój się, wcale nie kocham go więcej od ciebie. Ja w ogóle nikogo nie kocham.

AJGISTOS No to popatrz, coś ze mnie uczynił, niesprawiedliwy boże! I odpowiedz: jeżeli chcesz dziś przeszkodzić zbrodni Orestesa, to dlaczegoś na moją pozwolił?

JUPITER Bo nie wszystkie zbrodnie są mi jednakowo niemiłe. Ajgiście — mówię teraz z tobą jak król z królem, więc szczerze — pierwszą zbrodnię ja sam popełniłem stwarzając ludzi śmiertelnymi. Wam, zbrodniarzom, niewiele już zostało do roboty. Cóż mogliście? Śmierć waszym ofiarom zadawać? Skądże znowu. One już nosiły ją w sobie. Co najwyżej przyspieszyliście nieco jej przyjście. Wiesz, co by się stało z Agamemnonem, gdybyś go był nie zabił? Trzy miesiące później atak apopleksji miał go powalić na łonie pięknej niewolnicy. Ale twoja zbrodnia była mi potrzebna.

AJGISTOS Potrzebna? Ona była tobie potrzebna, a ja za nią pokutuję od lat piętnastu! Przekleństwo!

JUPITER Co w tym dziwnego? Właśnie dlatego, że pokutujesz za nią, jest mi ona potrzebna. Ja lubię tylko zbrodnie, które popłacają. Twoja mi się podobała, bo była ślepa i głucha na wszystko, prymitywna, niczego nieświadoma. Był to kataklizm raczej niż przemyślane przedsięwzięcie. Nie wyzywałeś mego gniewu nadaremno, zabiłeś zaślepiony wściekłością, i strachem, a później, gdy pasja minęła, z przerażeniem, z odrazą zobaczyłeś swój czyn i rozpoznać się w nim nie chciałeś. Ale zysk mi przyniósł ogromny. Dwadzieścia tysięcy ludzi pogrążonych w pokucie za śmierć jednego człowieka. Bilans raczej dodatni. Zrobiłem dobry interes.

AJGISTOS Rozumiem do czego to wszystko zmierza. Orestes nie będzie czuł skruchy.

por. Epiktet

JUPITER Ani cienia skruchy. W tej chwili obmyśla z zimną krwią swoje plany, metodyczny i spokojny. Po co mi to morderstwo bez skruchy, wyzywające, spokojne, lekkie w duszy zbrodniarza jak piórko. Muszę mu przeszkodzić. Nienawidzę zbrodni popełnianych przez młodych ludzi, są niewdzięczne i jałowe jak kąkol. Ten miły młodzieniec zabije cię jak kurczaka i odejdzie z zakrwawionymi wprawdzie rękami, ale z czystym sumieniem. Mnie to by upokarzało na twoim miejscu. No! Wołaj straż!

AJGISTOS Już raz powiedziałem, że nie. Za bardzo ci nie do smaku ta zbrodnia, abym nie miał jej pragnąć.

JUPITER (*zmieniając głos*) Ajgiście! Jesteś królem i wiem, że lubisz panować. Chcę przemówić do twego królewskiego sumienia.

AJGISTOS Mów.

JUPITER Nienawidzisz mnie, ale łączą nas więzy pokrewieństwa. Stworzyłem ciebie na mój obraz i podobieństwo. Król jest bogiem na ziemi. Jak bóg jest szlachetny i jak bóg tragiczny.

AJGISTOS Tragiczny? Ty?

JUPITER Popatrz mi w oczy. (*długie milczenie*) Powiedziałem ci, jesteś stworzony na mój obraz. Obydwaj strzeżemy ładu: ty w Argos, ja we wszechświecie i ta sama wspólna tajemnica ciąży nad nami.

AJGISTOS Ja nie mam żadnej tajemnicy.

JUPITER Nieprawda. Masz. Tę samą co i ja. Bolesną tajemnicę bogów i królów, tę mianowicie, że ludzie są wolni. Ajgiście, oni są wolni. Ty wiesz, ale oni o tym nie wiedzą.

AJGISTOS Tak. Gdyby wiedzieli, dawno by mój pałac poszedł z dymem. Od piętnastu lat stroję przeraźliwe miny, byle tylko ukryć przed nimi ich siłę.

JUPITER Więc widzisz, żeśmy tacy sami.

AJGISTOS Tacy sami? Cóż to za ironia, żeby bóg siebie ze mną porównywał. Odkąd panuję, wszystkie moje czyny i słowa mają tylko jeden cel — stworzyć mój obraz. Chcę, aby każdy poddany nosił go w sobie i w sa-

motności nawet czuł, że moje groźne spojrzenie spoczywa na jego myślach najbardziej tajemnych. Ale sam padłem ofiarą tej gry. Widzę już siebie tylko tak, jak ani mnie widzą. Pochyliam się nad studnią ich dusz; mój obraz, tam, w głębi, odpycha mnie i przyciąga zarazem. Boże wszechmogący, przecież ja już niczym innym nie jestem jak tylko strachem moich poddanych.

JUPITER Myślisz może, że ja jestem czym innym? *(wskazuje na posąg)* Ja też mam swój wizerunek. Może sądzisz, że on mnie nie przeraża? Od stu tysięcy lat tańczę przed ludźmi. Powolny, ciemny taniec. Muszą na mnie patrzeć: dopóki oczy utkwione mają we mnie, nie patrzą w siebie. Gdybym się jednak na moment zapomniał, gdybym pozwolił im wzrok odwrócić...

AJGISTOS To...

JUPITER Zostaw. To już tylko moja sprawa. Zmęczony jesteś, Ajgiście, ale nie masz powodu się skarżyć. Ty umrzesz. Ja nie. I dopóki ludzie żyć będą, skazany jestem na ten taniec przed nimi.

AJGISTOS Niestety! Ale któż nas skazał?

JUPITER Samiśmy się skazali. Bo ta sama namiętność w nas płonie. Ty lubisz ład, Ajgiście.

AJGISTOS Ład. Tak, to prawda. Dlatego uwiodłem Klitajmestrę, dlatego zabiłem króla. Chciałem, aby ład panował i aby przeze mnie panował. O, straszna to i boska namiętność!

JUPITER Nie stać nas na inną. Ja jestem bogiem, a tyś się urodził na króla.

AJGISTOS Niestety!

JUPITER Ajgiście, stworzenie moje i bracie mój śmiertelny. W imię tego ładu, któremu obydwaj służymy, rozkazuję ci: każ pojmać Orestesa i jego siostrę.

AJGISTOS Czy oni są niebezpieczni?

JUPITER Orestes wie, że jest wolny.

AJGISTOS *(żywo)* Wie, że jest wolny. Więc nie wystarczy zakuć go w kajdany. Wolny człowiek w państwie jest jak owca parszywa wśród stada. Zarazi całe królestwo i zrujnuje moje panowanie. Boże wszechmogący, na co czekają twoje pioruny?

JUPITER *(wolno)* Na co czekają moje pioruny?... *(pauza. Po chwili, skurczony i zgnębiony)* Ajgiście, inną jeszcze mają bogowie tajemnicę...

AJGISTOS Czego się jeszcze dowiem?

JUPITER Skoro wolność już raz wybuchła w duszy człowieka, nic przeciw niemu bogowie nie mogą. Jest wtedy sprawą samych ludzi, innych ludzi, ich tylko, niczyją więcej: czy puścić go mają wolno czy udusić.

AJGISTOS Czy udusić?... Tak.. Pewnie usłucham twojej rady. Ale już nie nie mów i nie zostawaj tu dłużej. Idź sobie.

(Jupiter wychodzi)

Scena VI

ELEKTRA *(biegnąc do drzwi)* Bij, Orestesie! Nie daj mu krzyknąć. Trzymam drzwi.

AJGISTOS Więc Orestes to ty?

ORESTES Broń się!

AJGISTOS Nie będę się bronił. Już za późno, abym wołał pomocy, i cieszę się, że za późno. Nie będę się bronił: chcę, żebyś mnie zamordował.

ORESTES Dobrze. Wszystkie drogi są dobre, które prowadzą do celu. Będę więc zabójcą. *(przebija go mieczem)*

AJGISTOS *(zachwiał się)* Nie chybiłeś. *(chwycił jeszcze za ramię Orestesa)* Pozwól, że na ciebie spojrzę. To prawda, że nie czujesz skruchy?

ORESTES Skruchy? Niby dlaczego? Wypełniam akt sprawiedliwości.

AJGISTOS Sprawiedliwe jest to, czego chce Jupiter. Byłeś tu ukryty i słyszałeś.

ORESTES Co mi tam Jupiter? Sprawiedliwość jest sprawą tylko ludzi i żaden bóg nie potrzebuje mi jej wskazywać. Sprawiedliwe jest rozdeptać

ciebie, podły lajdaku, i obalić twoje panowanie nad Argos. Sprawiedliwe jest oddać ludziom z Argos poczucie własnej godności.

(odpycha go)

AJGISTOS Boli...

ELEKTRA Zatacza się, twarz ma jak prześcieradło. Ohyda! Jakież to brzydkie, umierający człowiek.

ORESTES (do siebie) Cicho. Niech zabiera do grobu tylko wspomnienie naszej radości.

AJGISTOS Bądźcie przeklęci!

ORESTES Kiedyż ty skończysz umierać? (uderza go jeszcze raz, Ajgistos pada).

AJGISTOS Pamiętaj o muchach, Orestesie, pamiętaj o muchach. Jeszcze nie wszystko skończone.

(umiera)

ORESTES (popychając go nogą) Dla niego w każdym razie wszystko. Prowadź mnie do komnaty królowej.

ELEKTRA Orestesie...

ORESTES Co?

ELEKTRA Ona już nie może nam szkodzić...

ORESTES I cóż z tego?... Nie poznaję ciebie. Nie tak przed chwilą mówiłaś.

ELEKTRA Orestesie... I ja nie poznaję ciebie.

ORESTES W takim razie dobrze — pójdę sam.

(wychodzi)

S c e n a VII

ELEKTRA Będzie krzyczała? (chwilę słucha) Idzie korytarzem. Kiedy otworzy czwarte drzwi... Chciałam tego. Chcę tego, m u s z ę jeszcze tego chcieć. (patrzy na Ajgistosa) Ten już nie żyje. Więc o t o mi chodziło. Nie zdawałam sobie sprawy. (zbliża się do trupa) Sto razy widziałam go we śnie, leżał u stóp tego tronu z mieczem wrażonym w serce. Miał zamknięte oczy, zdawał się spać. Jak ja go nienawidziałam, jaka szczęśliwa byłam z tej nienawiści. Ale on nie wygląda na śpiącego, jego otwarte oczy zdają się na mnie patrzeć. Nie żyje i wraz z nim umarła moja nienawiść. Jestem tu i czekam, a tamta jest jeszcze żywa w głębi swej komnaty i za chwilę, za chwilę będzie krzyczeć. Jak zarzynane zwierzę. Nie mogę już dłużej wytrzymać tego wzroku. (klęka i zarzuca płaszcz na twarz Ajgistosa) Więc czego chciałam? (cisza. Potem krzyki Klitajmestry) Zabił. Była naszą matką, a on ją zabił. (wstaje) Więc to już koniec: moi wrogowie nie żyją. Przez długie lata rozkoszowałam się myślą o tej śmierci, a teraz czuję dziwny ucisk w sercu. A może kłamałam przez te piętnaście lat? To nieprawda! To nieprawda! To nie może być prawdą, nie jestem aż takim tchórzem. Chciałam tej chwili i chcę jej ciągle. Chciałam zobaczyć u moich stóp tego trupa. (zrywa płaszcz) Nie boję się twego rybiego spojrzenia. Ja chciałam tego spojrzenia i muszę się nim nacieszyć. (słabnące krzyki Klitajmestry) Niech krzyczy, niech krzyczy! Ja chcę, żeby krzyczała, chcę, żeby ją bolało! (krzyki ustają) Co za radość! Co za radość! Ja płaczę z radości: moi wrogowie nie żyją, ojciec pomszczony.

(Orestes wraca z mieczem zakrwawionym. Elektra podbiega do niego)

S c e n a VIII

ELEKTRA Orestesie! (rzuca mu się na szyję)

ORESTES Czego się boisz?

ELEKTRA Ja się nie boję. Jestem pijana, pijana z radości. Co powiedziała? Czy błagała o łaskę?

ORESTES Elektro, ja nie żałuję tego, co zrobiłem, ale wolałbym o tym nie mówić. Są wspomnienia, których z nikim dzielić nie można. Wiedz tylko, że skonała.

ELEKTRA Czy przeklinając nas? Powiedz, czy przeklinając nas?

ORESTES Tak, przeklinając nas.

ELEKTRA Weź mnie w ramiona, kochany, i mocno mnie przytul do siebie. Spójrz, jaka ciemna noc, światła pochodni z trudem przebijają mrok. Czy ty mnie kochasz?

ORESTES Już nie noc, już świta. Wolni jesteśmy, Elektro. Wydaje mi się, że wydałem ciebie na świat i urodziłem się wraz z tobą; kocham ciebie, a ty jesteś moją. Wczoraj jeszcze nie miałem nikogo, a dziś ty jesteś moją. Krew podwójnie nas łączy, bo jesteśmy z tej samej krwi i krew rozlaliśmy razem.

ELEKTRA Porzuć miecz. Daj mi rękę. (bierze go za rękę i całuje) Masz krótkie kwadratowe palce. One są po to, aby brać, po to, aby trzymać. Kochana dłoń! Bielsza od mojej. Jak ciężka się stała, aby ukarać zabójców naszego ojca. Poczekaj. (bierze pochodnię i zbliża ją do twarzy Orestesa) Muszę ci twarz oświecić, bo noc coraz ciemniejsza, niedobrze ciebie widzę. A ja cię muszę widzieć. Boję się ciebie, gdy nie widzę twojej twarzy. Nie mogę ciebie spuścić z oczu. Kocham ciebie. Muszę koniecznie być pewna, że ciebie kocham. Tak dziwnie wyglądasz.

ORESTES Jestem wolny, Elektro. Wolność uderzyła we mnie jak piorun.

ELEKTRA Wolny? Ja się nie czuję wolna. Czy mógłbyś sprawić, aby odstało się to wszystko? Stało się coś, czego naprawić już nie podobna. Nic już nie zmieni tego, że na wieki pozostaniemy mordercami naszej matki.

ORESTES Myślisz, że mi na tym zależy? Spełniłem swój czyn, Elektro, ten czyn był właściwy. Będę go niósł na ramionach, tak jak przewoźnik przeprowadza podróżnych przez bród, zaniosę go na drugi brzeg i zdam z niego rachunek. Im bardziej mi będzie ciężko, tym większa będzie moja radość, bo moja wolność to właśnie on. Jeszcze wczoraj błądziłem po omacku po świecie, wszystkie drogi uciekały mi spod nóg, bo należały do innych. Zmierzyłem wszystkie szlaki: i drogę holowników, co biegnie wzdłuż rzeki, i górską ścieżkę mulnika, i szosę brukowaną, po której wozy się toczą, żadna z tych dróg nie była moja. Dziś została mi już tylko jedna i bóg jeden wie, gdzie prowadzi — ale ta jest moja. Co ci jest?

ELEKTRA Nie mogę ciebie dojrzeć. Te lampy tak słabo świecą. Słyszę tylko twój głos, rani mnie, tnie jak nóż. Czy już zawsze będzie tak ciemno, nawet w dzień? Orestesie, popatrz! Już są!

ORESTES Kto?

ELEKTRA Już przyleciały! Skąd się tu wzięły? Wisza u stropu jak czarne winne grona, zaciemniają ściany, wślizgują się między oczy i światło, przysłaniają mi twoją twarz.

ORESTES Muchy...

ELEKTRA Posłuchaj!... Posłuchaj, jak biją ich skrzydła, hałas jak w kuźni. Otaczają nas, Orestesie. Pilnują. Za chwilę nas opadną i na całym ciebie czuć będę ich klejące macki. Jak uciec, gdzie uciec, Orestesie? Patrz, nadympają się, rosną, już są duże jak pszczoły, — zwarta chmura poleca za nami. To ohydne! Widzę ich oczy, miliony par oczu, które na nas patrzą.

ORESTES Co się będziesz przejmować muchami!

ELEKTRA Orestesie, to są Erynie, boginie pokuty.

GŁOSY (za drzwiami) Otwierać! Otwierać! Jeśli nie otworzą, trzeba będzie wywalić drzwi.

(głuche dobijanie się do drzwi)

ORESTES Krzyki Klitajmestry obudziły strażę. Chodź! Zaprowadź mnie do świątyni Apollona. Spędzimy tam noc bezpiecznie, daleko od ludzi i much. Jutro przemówię do mojego ludu.

A K T T R Z E C I

S c e n a I

Świątynia Apollona. Półmrok. Pośrodku posąg Apollona. Elektra i Orestes śpią u stóp posągu, rękoma obejmują go za nogi. Otaczają ich kołem Erynie. Śpią na stojąco jak czaple. W głębi sceny ciężkie brązowe drzwi.

PIERWSZA ERYNIA *(przeciągając się)* Haa! Spalam na stojąco, wyprężona ze złości jak struna i śniłam straszne, gniewne sny. O piękny kwiecie gniewu, czerwony kwiecie gniewu w moim sercu! *(okręca się wokół Elektry i Orestesa)* Śpią. Białe, delikatne mają ciała. Przewalę się po ich brzuchach i piersiach jak strumień górski po kamieniach. Cienpliwie będę gładzić ich ciała wykwiłtne, wycierać, drapać, aż je zedrę do kości. *(postępuje parę kroków)* Wstaje dzień nienawiści, czystej jak szkło! Wspaniałe będzie przebudzenie, oni śpią, spoceni, w gorączce, a ja duszę mam z miedzi, czuwam, chłodna, niewzruszona, święta.

ELEKTRA *(jęczy przez sen)*

PIERWSZA ERYNIA Jęczysz? Cierpliwości, niebawem poznasz smak naszych ukąszeń, wśród naszych pieczyt będziesz wyła. Małżonką jesteś moja, wejdziesz w ciebie jak mężczyzna w kobietę i poznasz wtedy ciężar mojej miłości. Jesteś piękna, Elektro, piękniejsza ode mnie, ale zobaczysz, pocałunki moje postarzają, za sześć miesięcy będziesz złamaną staruszką, a ja zostanę młoda. *(pochyla się nad nimi)* Ładny to łup, smaczny łup, patrzę na nich, oddycham ich oddechem i gniew we mnie wzbiera. O, jak miło witać dzień nienawiści, jak miło mieć pazury i szpony i ogień czuć w żyłach! Nienawiść zalewa mnie i dusi, piersi pęcznieją nienawiścią niby mlekiem. Obudźcie się siostry moje, obudźcie się, świta!

DRUGA ERYNIA Śniło mi się, że gryzę.

PIERWSZA ERYNIA Poczekaj cierpliwie. Dziś Apollon ich wziął pod opiekę, lecz pragnienie i głód wkrótce ich stąd wypędzą, a wtedy wszystkimi zębami gryźć będziesz.

TRZECIA ERYNIA Haa, ja chcę w szponach dusić.

PIERWSZA ERYNIA Poczekaj trochę: wkrótce twoje żelazne paznokcie będą wyrwywać całe kawały mięsa z ciał zbrodniarzy. Zbliźcie się, siostry moje, zbliźcie się, przypatrzcie się im.

ERYNIA Jacy młodzi!

INNA ERYNIA Jacy piękni!

PIERWSZA ERYNIA Radujcie się. Zbyt często zbrodniarze są starzy i brzydcy. Radość niszczenia tego co piękne jest nader rzadka.

ERYNIE Heja! Hejaha!

TRZECIA ERYNIA Orestes to prawie dziecko. Przyozdobię moją nienawiść w iście matczyna tkliwość. Położę sobie na kolanach jego bladą głowę i będę go gładzić po włosach.

PIERWSZA ERYNIA A potem?

TRZECIA ERYNIA Potem znienacka wbiję mu palce w oczy.

(śmieją się)

PIERWSZA ERYNIA Wzdychają, wiercą się, zaraz się przebudzą. Siostry, wyrwijmy ich ze snu naszą pieśnią.

CHÓR ERYNII Bzz, bzz, bzz, bzz.

Obsiadziemy twoje serce gnijące jak muchy

Kawał chleba posmarowany miodem.

Twoje serce gnijące, rozkrwawione, smakowite.

Jak pszczoły będziemy ci wysysać posokę i ropę z serca.

I miód zrobimy z tego, zobaczysz, słodki, zielony miód.

Jaka miłość tyle rozkoszy daje co nienawiść?

Bzz, bzz, bzz, bzz.

Będziemy nieruchomymi oczami domów,

Warczeniem psa, który zęby na ciebie wyszczerzy,

Brzęczeniem, co nad twoją głową będzie się unosić,

Szmerem lasów,

Gwizdem, szelestem, wodą kapiącą, wołaniem sowy,
Będziemy nocą,
Bezdenią nocą twojej duszy.
Bzz, bzz, bzz, bzz,
Heja! Heja! Heja — ha!
Bzz, bzz, bzz, bzz,
Jesteśmy muchy, ropęssać lubimy.
Wszystko z tobą będziemy dzielić,
W twoich ustach będziemy szukać pokarmów, a w głębi twoich
Oczu światła.
Odprowadzimy ciebie aż do grobu
I dopiero robactwu odstąpimy miejsca.
Bzz, bzz, bzz, bzz,

(tańczą)

ELEKTRA (budzi się) Kto tu mówi? Kto wy?

ERYNIE Bzz, bzz, bzz.

ELEKTRA Ach, to wy. Więc zabiliśmy ich naprawdę?

ORESTES (budząc się) Elektro!

ELEKTRA A ty, kto jesteś? Ach! Tyś Orestes. Odejdź!

ORESTES Co ci jest?

ELEKTRA Boję się ciebie. Śniło mi się, że nasza matka upadła na wznak i krwawiła tak mocno, że krew wypływała cienkimi strużkami spod wszystkich drzwi pałacu. Dotknij moich rąk. Widzisz, jakie zimne. Nie, zostaw. Nie dotykaj mnie. Bardzo krwawiła?

ORESTES Przestań!

ELEKTRA (budząc się zupełnie) Niech spojrzę na ciebie: zabiłeś ich. To ty ich zabiłeś! Jesteś tu przy mnie, dopiero co się obudziłeś, nic po tobie nie znać, a jednak to ty ich zabiłeś.

ORESTES Więc co z tego? Tak, zabiłem ich (pauza) Ja też się ciebie boję. Wczoraj byłaś taka piękna. Dzisiaj wyglądasz, jakby ci jakieś zwierzę twarz pazurami podrapało.

ELEKTRA Jakieś zwierzę? Twoja zbrodnia. Zdiera mi ona policzki, powieki. Czuję się tak, jakby moje oczy i zęby były zupełnie obnażone. A one? Co one tu robią?

ORESTES Nie przejmuj się nimi. One nic przeciwko tobie nie mogą.

PIERWSZA ERYNIA Niech przyjdzie tylko tutaj, do środka, jeżeli się odważy, a zobaczysz, czy nic przeciw niej nie możemy.

ORESTES Cicho, suki! Do budy! (Erynie warczą) Ta dziewczyna, która wczoraj w białej sukni na schodach świątyni tańczyła — czy to możliwe, żebyś to była ty?

ELEKTRA Postarzałam się, jak widzisz. W jedną noc.

ORESTES Jesteś jeszcze piękna, ale... gdzie ja już widziałem takie martwe oczy? Elektro... jesteś do niej podobna, podobna do Klitajmestry. Czy warto ją było zabijać? Gdy moją zbrodnię widzę w takich oczach, wstrząsam się ze wstrętu.

PIERWSZA ERYNIA To dlatego, że ona się tobą brzydzi.

ORESTES To prawda? To prawda, że się mną brzydzisz?

ELEKTRA Zostaw mnie.

PIERWSZA ERYNIA No, widzisz? Watpisz jeszcze? Jakże ona może nie nienawidzić ciebie? Spokojnie sobie żyła pośród swoich snów, gdy przyszedłeś, niosąc zbrodnię i świętokradztwo. A teraz dzieli twoją winę, przykuta do tego piedestału, jedyne kawałka ziemi, który jej pozostał.

ORESTES Nie słuchaj ich.

PIERWSZA ERYNIA Precz, precz! Odpędź go, Elektro, nie pozwól mu dotknąć swej ręki. To rzeźnik. Mdły odór krwi jeszcze jedzie od niego. Żebyś widziała, jak on ją niezręcznie mordował, parę razy musiał ciąć mieczem.

ELEKTRA Kłamiesz.

PIERWSZA ERYNIA Nie, przecież byłam przy tym, bzykałam wokół nich.

ELEKTRA I musiał parę razy ciąć mieczem?

PIERWSZA ERYNIA Chyba z dziesięć. A za każdym razem miecz chrząścił w ramię, krk. Zakrywała sobie twarz i brzuch rękami, a on ją po rękach...

ELEKTRA Długo się męczyła? Nie od razu skołała?

ORESTES Nie patrz na nie, zatkał sobie uszy rękami i nade wszystko nie pytaj ich o nic. Jeśli zapytasz, będziesz stracona.

PIERWSZA ERYNIA Okrutnie cierpiała.

ELEKTRA (*chowając twarz w rękach*) Ha!

ORESTES Chcą nas rozdzielić. Już budują wokół ciebie mur samotności. Uważaj, Elektro, one tylko czekają, aż będziesz sama, sama jedna i opuszczona, żeby się rzucić na ciebie. Elektro, razem postanowiliśmy tę zbrodnię, razem musimy ponieść jej następstwa.

ELEKTRA Więc mówisz, że ja tego chciałam?

ORESTES A może nie?

ELEKTRA Nie, to nieprawda... Poczekaj... Tak, masz rację... Ach, sama już nie wiem. Ja wyśniałam tę zbrodnię. Ale tyś ją popełnił, ty, kacie własnej matki.

ERYNIE (*śmiejąc się i krzycząc*) Kacie, kacie, rzeźniku!

ORESTES Elektro, za tymi drzwiami jest świat. Świat i światło poranka. Słońce wstaje na dworze. Zaraz stąd wyjdziemy na słoneczne drogi i te córki nocy stracą swoją moc. Promienie światła przebijają je jak miecze.

ELEKTRA Słońce...

PIERWSZA ERYNIA Nie zobaczysz już nigdy słońca, Elektro. Zawisniemy między tobą a słońcem jak szarańcza. Wszędzie noc wlec będziesz za sobą.

ELEKTRA Puśćcie mnie. Przestańcie męczyć.

ORESTES Cała ich siła polega na twojej słabości. Popatrz, mnie nie ośmielają się zaczepić. Słuchaj: jakaś bezimienna ohyda zawisła nad tobą i rozdziela nas. A przecież nie przeszłaś nic takiego, czego i ja bym nie przeszedł. Myślisz, że przestanę kiedyś słyszeć jęki mojej matki? Że zapomnę widoku jej oczu szeroko rozwartych, wielkich i wzburzonych jak dwa oceany, w kredowobiałej twarzy? Sądzisz, że obca mi będzie trwoga, która ciebie pożera? Ale to wszystko nic nie znaczy, bo jestem wolny. Poza trwogą i poza pamięcią. Wolny. I w zgodzie z własnym sumieniem. Nie wolno samej siebie nienawidzić, Elektro. Podaj mi rękę, ja ciebie nie opuszczę.

ELEKTRA Puść mnie! Przerazają mnie te suki czarne naokoło, ale mniej niż ty.

PIERWSZA ERYNIA A widzisz, a widzisz! Prawda, aleczko, boisz się go więcej niż nas? Nas potrzebujesz, Elektro, jesteś naszym dzieckiem. Potrzebne ci nasze paznokcie, aby rwały twoje ciało, potrzebne ci nasze zęby, aby gryzły twoje piersi, potrzebna ci nasza miłość ludożercza, abyś mogła zapomnieć o swej nienawiści, potrzebne ci te cierpienia, abyś o mękach duszy mogła zapomnieć. Chodź, chodź! Wystarczy zejść dwa stopnie, weźmiemy ciebie w ramiona, pocałunkami rozerwiemy twoje miękkie ciało i zapomnisz, zapomnisz w oczyszczającym ogniu cierpienia.

ERYNIE Chodź! Chodź!

(*tańczą bardzo powoli, jakby chciały ją zahipnotyzować. Elektra wstaje*)

ORESTES (*chwytając ją za rękę*) Nie chodź tam, błagam, to będzie twoja zguba.

ELEKTRA (*wyrywa mu się*) Ach! Nienawidzę ciebie! (*schodzi dwa stopnie, Erynie rzucają się na nią*) Ratunku!

(*wchodzi Jupiter*)

Scena II

JUPITER Do budy!

PIERWSZA ERYNIA Pan idzie...

(*Erynie cofają się niechętnie, odstawiając leżącą na ziemi Elektrę*)

JUPITER Biedne dzieci. (*zbliża się do Elektry*) I na co wam przyszło? Gniew i litość walczą w moim sercu. Możesz wstać, Elektro, przy mnie nie robisz

ci nie złego. *(pomaga jej wstać)* Co za przerażający widok! Wystarczyło jednej nocy! Jednej jedynej nocy! Gdzie się podziała twoja wieśniacza świeżość? W jedną noc wątroba, śledziona i płuca odmówiły posłuszeństwa i teraz jesteś jak strzep człowieka. O dumna, szalona młodości! Widzicie, ile złego potrafiłście sobie wyrządzić?

ORESTES Porzuć ten moralizatorski ton, staruszkule, razi on w uszach króla bogów.

JUPITER A ty swój dumny ton porzuć, razi on w uszach winowajcy, który pokutuje za swoją zbrodnię.

ORESTES Nie jestem żadnym winowajcą i nie zmusisz mnie do pokutowania za coś, czego za zbrodnię nie uznaję.

JUPITER Wydaje mi się, że jesteś w błędzie. Ale cierpliwości. Niedługo zmienisz zdanie.

ORESTES Możesz mnie prześladować do woli: ja nie żałuję niczego.

JUPITER Nawet upodlenia, w jakie wtrąciłeś Elektry?

ORESTES Nawet tego.

JUPITER Słyszysz, Elektro? I on twierdzi, że ciebie kocha.

ORESTES Kocham ją więcej niż samego siebie. Lecz ona sama jest przyczyną swoich cierpień, sama i tylko sama może się z nich wyzwolić — jest wolna.

JUPITER A ty? Ty też uważasz, że jesteś wolny?

ORESTES Wiesz o tym dobrze.

Por. Epiktet

JUPITER Ależ przyjrzyj się sobie, bezczelne i głupie stworzenie: doprawdy imponująco wyglądasz, skulony u stóp miłosiernego boga, pośród tej całej wygłodniałej psiarni. Zrozum, jeśli ty ośmielasz się twierdzić, że jesteś wolny, to równie dobrze można mówić o wolności więźnia zakutego w kajdany czy rozpiętego na krzyżu niewolnika.

ORESTES A dlaczego nie?

JUPITER Uważaj! Udajesz nieustraszonego, bo wiesz, że Apollon czuwa nad tobą. Ale Apollon jest moim sługą posłusznym. Wystarczy, abym podniósł palec do góry, żeby ciebie opuścił.

ORESTES No to podnieś palec, podnieś nawet całą rękę.

JUPITER Po co? Już ci mówiłem, że nie znoszę karać. Przyszedłem was uratować.

ELEKTRA Uratować? Nie naigrawaj się z nas, o boże zemsty i śmierci, bo nawet bogom nie wolno cierpiących ludzi nadzieją.

JUPITER Za piętnaście minut możesz znaleźć się daleko stąd.

ELEKTRA Zdrowa i cała?

JUPITER Masz na to moje słowo.

ELEKTRA Co chcesz ode mnie w zamian?

JUPITER Nic, moje dziecko.

ELEKTRA Nic? Czy to możliwe, o dobry, miłosierny, boże!

JUPITER Albo prawie nic. To, na co stać cię najłatwiej; odrobinę skruchy.

ORESTES Strzeż się, Elektro, ta odrobina kamieniem zaciąży na twojej duszy.

JUPITER *(do Elektry)* Nie słuchaj go. Powiedz mi raczej: dlaczego wahasz się potępić tę zbrodnię? Przecież ktoś inny ją popełnił. Właściwie, trudno nawet powiedzieć, że byłeś jej współniczką.

ORESTES Elektro! Wyrzekłabyś się piętnastu lat nienawiści, piętnastu lat nadziei?

JUPITER Dlaczego miałabyś się wyrzec? Ona nigdy nie pragnęła tego świętokradczego czynu.

ELEKTRA Ach, niestety...

JUPITER Możesz mi wierzyć. Umiem czytać w ludzkich sercach.

ELEKTRA *(niepewnie)* I w moim czytasz, że nie chciałam tej zbrodni? Gdy przez piętnaście lat marzyłam o morderstwie, o zemście?

JUPITER Cóż! Krwawe marzenia kołysały ciebie do snu, ale one były właściwie niewinne, umilały ci niewolę, kołysały zdraśnięcia twojej miłości własnej. Nigdy przecież nie myślałaś o ich realizacji. Czy się mylę?

ELEKTRA Ach, boże, boże kochany, tak bardzo bym chciała, żebyś się nie mylił!

JUPITER Jesteś jeszcze małą dziewczynką, Elektro. Inne małe dziewczynki chcą być w przyszłości najbogatszymi czy najpiękniejszymi z kobiet. A ty, zapatrzona w tragiczny los waszego rodu, od dzieciństwa marzyłaś tylko o tym, żeby być najniešťeśliwszą i najbardziej zbrodniczą z nich wszystkich. Nie pragnęłaś nigdy zła, pragnęłaś tylko własnego nieszczęścia. Dzieci w twoim wieku bawią się jeszcze lalkami albo grają w berka; ty, biedactwo, pozbawiona zabawek i koleżanek, bawiłaś się w morderstwo, bo to jest taka zabawa, w którą można się bawić samemu.

ELEKTRA Niestety, Niestety! W miarę jak ciebie słucham, coraz jaśniej to widzę.

ORESTES Elektro! Elektro! Teraz dopiero stajesz się winną. Ty i tylko ty wiesz, czegoś chciała. Nie pozwól, aby kto inny o tym stanowił. Nie przeinaczaj przeszłości, bo ona jest już bezbronna. Dlaczego zapierasz się tej, którą byłaś, gniewnej Elektry, tak ukochanej przez mnie młodej bogini zemsty? Nie widzisz, że ten srogi bóg tylko natrząsa się z ciebie?

JUPITER Ja się z was natrząsam? Wysłuchajcie moich propozycji. Jeżeli wyrzekniecie się waszej zbrodni, osadzę was na tronie Argos.

ORESTES Zwolnionym przez Ajgista i Klitajmestrę?

JUPITER Inaczej być nie może.

ORESTES I będę musiał przywdziać nie ostygłe jeszcze suknie zmarłego króla?

JUPITER Te czy inne.

ORESTES No tak, wszystko jedno jakie, byleby czarne, prawda?

JUPITER Przecież jesteś w żałobie.

ORESTES Ach tak, po matce, zapomniałem. Moich poddanych, oczywiście, też trzeba będzie ubrać na czarno?

JUPITER Nie trzeba, już są tak ubrani.

ORESTES Racja. Trzeba donosić stare łachy. No i co? Rozumiesz wreszcie, Elektro? Za parę wylanych łez odziedziczysz wszystkie spódnice i koszule Klitajmestry, te koszule cuchnące, brudne, coś je przez piętnaście lat sama prała. Czeka cię także jej rola, zagrasz ją bez trudu, tak że nikt się nawet nie spostrzeże. Każdy będzie myślał, że to twoja matka, bo nawet zrobiłaś się do niej podobna. Co do mnie, ja jestem nieco bardziej obrzydliwy, nie będę wciągać spodni zabitego przez siebie błazna.

JUPITER Bardzoś mi hardy: zabiłaś bezbronnego człowieka i starą kobietę błagającą o litość, a słuchając ciebie można by pomyśleć, żeś wyzwolił swoje miasto rodzinne stoczywszy nierówny bój sam przeciw trzydziestu.

ORESTES A może rzeczywiście udało mi się wyzwolić moje miasto rodzinne?

JUPITER Tobie? Wiesz, kto się znajduje za tymi drzwiami? Mieszkańcy Argos, wszyscy mieszkańcy Argos. Właśnie czekają na swego wyzwoliciela. Z kamieniami, z widłami, z kijami. Chcą mu okazać wdzięczność. Sam jeden jesteś, jak trędowaty.

ORESTES Tak.

JUPITER Nie masz się czym chełpić. Ich pogarda i wstręt straciły cię w przepaść samotności, o ty, najpodlejszy z morderców.

ORESTES Najpodlejszym jest ten, co skrucę czuje.

JUPITER Orestesie! Jam stwórzyciel twój i wszystkich rzeczy. Spójrz! (mury świątyni się rozsuwają. Widać niebo zasiane wirującymi gwiazdami. Jupiter w głębi sceny. Jego głos nabrał siły wzmocniony przez megafon — ale jego samego ledwie widać) Spójrz na te planety, co zgodnie kołują w przestrzeni i nie zderzają się nigdy, jam bieg ich sprawiedliwie wyznaczył. Posłuchaj harmonii sfer, tej olbrzymiej dobywającej się z wnętrza ziemi pieśni dziękczynnej, która bije zewsząd w niebiosach. (melodramatycznie) Przeze mnie rozmnażają się zwierzęta, ja rozkazałem, aby człowiek rodził człowieka, a szczenię psa zawsze psem było, przeze mnie słodki język przyptywów liże piasek nadmorski i odpływa o oznaczonej godzinie, za moją sprawą rosną rośliny, mój oddech niesie naokoło planety żółte chmury pyłków nasiennych. A ty, jak drzazga w dłoni, jak kłusownik w dworskich lasach, intruzem jesteś w tym świecie; bo świat jest dobry, stworzyłem go podług swej woli, a ja jestem najwyższe Dobro. Ty zaś uczyniłaś zło i stworzenie wszystkie oskar-

Bog - zasada
jako
determinizm?

za ciebie skamieniałym głosem. Dobro jest wszędzie: jest miazga bzu, chłodem wody źródlanej, ziarnkiem krzemienia, ciężeniem bryły, ogniem paleniska i światłem gwiazdy dalekiej. Nawet ciało twoje cię zdradza, bo moim jest prawom posłuszne. Dobro jest w tobie, obok ciebie, tnie ciebie jak kosa, miazdzy jak góra wysoka, unosi i rzuca jak morze. Ono zezwoliło, aby twój zamiar morderczy się spełnił, bo było światłem świecy, ostrzem miecza i siłą ramienia. A to Zło, którym się tak chelpisz, jakbyś je sam wymyślił, jest jedynie odbłaskiem bytu, pozorem, uludą, istnieć by ono nie mogło, gdyby dobro nie istniało. Zastanów się nad sobą, Orestesie: wszechświat cały obwinia ciebie, a jesteś tylko drobną molekułą we wszechświecie. Powróć na dobrą drogę, synu wyrodny, poznaj swój grzech i wyrwij z siebie zło jak ząb zepsuty i cuchnący. Inaczej drzyj, aby morza się przed tobą nie rozstępowały, źródła na twojej drodze nie schły, kamienie i głązy nie rozbiły przed tobą, a ziemia nie rozsypywała pod twoim stąpieniem.

ORESTES A niech się rozsypuje! Niech obwiniają mnie głązy, niech wiedną rośliny, gdzie stanęła moja stopa; cały twój wszechświat nie potrafi mnie przekonać o mojej winie. Jesteś władcą bogów, Jupiterze, władcą kamieni i gwiazd i władcą morskich fal. Ale ludźmi nie władasz.

(ściany świątyni na powrót się zsuwają. Jupiter staje się znów widoczny, ale jest teraz zmęczony i przygarbiony, mówi normalnym głosem)

JUPITER Nie jestem twoim władcą, bezczelna larwo? A któż ciebie stworzył?

ORESTES Ty. Ale nie trzeba było stwarzać mnie wolnym.

JUPITER Dałem ci wolność po to, byś mi służył.

ORESTES Być może, ale teraz obróciła się ona przeciw tobie, i nic na to nie możemy poradzić ani ty, ani ja.

JUPITER No, wreszcie jakieś usprawiedliwienie.

ORESTES Ja się nie usprawiedliwiam.

JUPITER Jak to? Wolność, której jesteś niewolnikiem? To znakomita wymówka.

ORESTES Nie jestem ani panem, ani niewolnikiem swojej wolności. Ja jestem swoją wolnością. Zaledwieś mnie stworzył, już przestałem do ciebie należeć.

ELEKTRA Na prochy ojca naszego, Orestesie, zaklinam cię, nie dołączaj bluźnierstwa do zbrodni!

JUPITER Słyszysz ją? Nie sądzisz chyba, że ta argumentacja ją przekona? Zbyt nowe, zbyt gorszące wydają się jej twoje słowa.

ORESTES I mnie też, Jupiterze. I gardłu mojemu, które te dźwięki wydaje, i językowi, które je w słowa układa! Z trudem rozumiem sam siebie. Wczoraj jeszcze byłeś zasłoną na moich oczach, koreczkami waty w moich uszach; wczoraj jeszcze miałem usprawiedliwienie: ty nim byłeś, usprawiedliwiałeś moje istnienie, bo mnie stworzyłeś, abym służył twoim planom i cały świat był naokoło mnie jak stręczycielka bez przerwy mówiąca o tobie i tylko o tobie. Aż nagle opuściłeś mnie.

JUPITER Opuściłem? Ja? Ciebie?

ORESTES Wczoraj rozmawiałem z Elektrą; otaczająca mnie przyroda syrenim śpiewem sławiła twoje Dobro i udzielała mi rad. Upalny dzień, aby mnie nakłonić do litości, zamglili się jak oko zachodzące lżą, niebo, abym pamiętał o odpuszczeniu win, stało się łagodne jak przebaczenie. Posłuszna twoim rozkazom młodość moja dźwignęła się z pamięci i wyrosła przede mną błagalna jak opuszczona narzeczoną: po raz ostatni oglądałem wtedy moją młodość. I nagle wolność runęła na mnie i przeniknęła mnie do szpiku kości: odtrącona przyroda odskoczyła jakby o krok, znalazłem się nagle poza czasem i poczułem się samotny w tym twoim błahym, małym światku jak człowiek, który zgubił swój cień, i niebo okazało się nagle puste, i nie było już ani Zła, ani Dobra, ani nikogo, kto by mógł mi rozkazywać.

JUPITER No i co z tego? W tym, że owca jest parszywa, że ktoś jest trędowaty, nie widzę jeszcze powodu do zachwytu. Nie zapominaj, Orestesie, że byłeś owieczką mojej trzody, że karmiłeś się paszą moich łąk. Twoja wolność to świerzb, twoja wolność — to wygnanie.

Tragizm wolności

ORESTES Masz rację: wolność to wygnanie

JUPITER Zło nie zdążyło jeszcze zapuścić głęboko korzeni. Wszystko to działo się przecież wczoraj. Wróć do nas. Wróć: widzisz, jaki jesteś samotny, nawet twoja siostra cię opuściła. Pobladleś, lęk ci rozszerzył źrenice. Sądziś, że ocalejesz? Trawi cię zło nieludzkie, obcy jesteś mojej przyrodzie, obcy samemu sobie. Wróć, jam jest zapomnienie i uspokojenie.

Przełamanie praw
spycha w samotność

ORESTES Obcy samemu sobie, wiem. Poza naturą i przeciwny naturze, pozbawiony jakiegokolwiek usprawiedliwienia, nie oczekuję znikąd ratunku i wiem, że w nikim nie znajdę ucieczki. Ale nie wrócę pod twoje prawo: skazany już jestem na to, aby nie uznawać innego prawa niż własne. Nie wrócę do twojego świata: tysiące jest w nim dróg wytyczonych i wszystkie prowadzą do ciebie, ale ja muszę iść własną drogą. Bo widzisz, ja jestem człowiekiem, Jupiterze, a człowiek winien sam sobie ryc drogę. Przyroda czuje wstręt do człowieka, a ty, ty, władco bogów, ty też czujesz wstręt do ludzi.

JUPITER Nie kłamiesz, nienawidzę ich, kiedy są do ciebie podobni.

ORESTES Uważaj: obnażyłeś teraz swoją słabość. Ja ciebie nie nienawidzę. Co mnie i tobie, boże? Przeżywamy obok siebie nie dotykając się, jak dwa okręty. Ty jesteś bóg, ja jestem wolny; jednakowo samotni jesteśmy i jednakowe nasze przerażenie. Skąd wiesz, czy ja nie chciałem znaleźć w sobie skruchy podczas tej długiej, nie kończącej się nocy? Skruchy. I snu. Ale niezdolny już jestem do skruchy. I spać nie potrafię.

(chwila milczenia)

JUPITER Co zamierzasz począć?

ORESTES Lud Argos jest moim ludem. Muszę otworzyć mu oczy.

Korzyści z posępnego
dogmatyzmu?

JUPITER Biedacy! Podarujesz im samotność i wstyd, obedrzesz szaty, w które ich oblokłem, i ukazesz im nagle ich bytowanie, obleśne, nudne bytowanie, nie wiadomo po co im dane.

ORESTES Dlaczego nie miałoby uczestniczyć w mojej rozpacz, jeżeli rozpacz jest także ich udziałem?

JUPITER I cóż oni z nią poczną?

ORESTES Co tylko będą chcieli. Są przecież wolni, a życie ludzkie zaczyna się po tamtej stronie rozpacz.

(chwila milczenia)

JUPITER Tak, Orestesie, to wszystko było przewidziane. Wiedziałem, że przyjdzie człowiek, który ogłosi kres mojego panowania. Więc to ty? Któż by to wczoraj przypuścił widząc twe rysy dziewczęce?

ORESTES Sam bym tego nie przypuścił. Słowa, które wypowiadam, są zbyt wielkie jak na moje usta i boleśnie je kaleczą; los, który dźwigam, jest zbyt ciężki jak na moją młodość, dlatego złamał ją i zniszczył.

JUPITER Trudno powiedzieć, żebym cię kochał, a jednak żał mi ciebie.

ORESTES I mnie ciebie żał.

JUPITER Żegnaj, Orestesie! (robi parę kroków) Co do ciebie zaś, Elektro, zastanów się dobrze: moje panowanie jeszcze nie skończone, daleko do tego, a ja nie zamierzam poddać się bez walki. Zastanów się, czy ze mną będziesz, czy przeciwko mnie. Żegnajcie.

ORESTES Żegnaj.

(Jupiter wychodzi)

S c e n a III

(Elektra powoli wstaje)

ORESTES Dokąd idziesz?

ELEKTRA Zostaw mnie, nie mam ci nic do powiedzenia.

ORESTES O ty, którą znam od wczoraj, czy na zawsze utracić cię muszę?

ELEKTRA Obym cię nigdy nie była znała.

ORESTES Elektro! Siostra moja ukochana, Elektro! Kochanie moje jedyne, jedyna osłoda życia, nie zostawiaj mnie samego, zostań ze mną!

ELEKTRA Złodzieju! Nie nie miałam własnego, tylko tych parę marzeń i trochę spokoju. Zabrałeś mi wszystko, okradłeś żebraczkę. Byłeś moim bratem, głową rodziny, miałeś się mną opiekować. A ty ochlapałeś mnie krwią i teraz jestem czerwona jak rzeźnik. Opadły mnie te muchy żarłoczne, a w moim sercu wre jak w ulu.

ORESTES Ukochana moja, to prawda, zabrałem ci wszystko i nie ci nawet w zamian dać nie mogę, prócz mojej zbrodni. Ale to bogaty prezent. Zbyt lekki byłem dotychczas, i ty zbyt lekka była Elektro, a teraz nogi nasze grzęzną w ziemi jak koła naladowanego wozu w koleinach. Chodź, pójdziemy razem, stawiając ciężkie kroki i uginając się pod naszym drogocennym ciężarem. Podasz mi rękę i pójdziemy...

ELEKTRA Dokąd?

ORESTES Nie wiem, na poszukiwanie nas samych... Po tamtej stronie rzek i gór jest jakiś Orestes i jest jakaś Elektra, którzy na nas czekają. Trzeba będzie ich szukać cierpliwie.

ELEKTRA Nie chcę już więcej ciebie słuchać. Przyniosłeś mi nieszczęście i budzisz we mnie odrazę. *(wybiega na środek sceny, Erynie powoli zbliżają się do niej)* Ratunku! Jupiterze, królu bogów i ludzi, panie mój, weź mnie w ramiona, zabierz mnie, ratuj mnie! Będę przestrzegać praw twoich, będę twoją niewolnicą, twoją rzeczą najwierniejszą, będę całować twoje kolana i stopy. Broń mnie od much, od brata, ode mnie samej, nie opuszczaj mnie, życie swoje poświęcę pokucie. Żałuję, Jupiterze, żałuję za grzechy!

(wybiega)

S c e n a IV

(Erynie rzucają się za Elektrą, ale pierwsza Erynia je zatrzymuje)

PIERWSZA ERYNIA Zostawcie ją, moje siostry, ta się nam wymknęła. On za to nam pozostał, i to zdaje się na długo, bo wygląda na twardą sztukę. Zapłaci za dwoje.

(Erynie podchodzą do Orestesa)

ORESTES Sam jeden.

PIERWSZA ERYNIA Ale skądże, mój ty najmilszy morderco, ja z tobą na zawsze zostaję. Zobaczysz, jak jeszcze potrafię urozmaicić ci życie.

ORESTES Sam jeden aż do śmierci. A potem...

PIERWSZA ERYNIA Cierpliwości, moje siostry, słabnie. Patrzcie, jak mu się oczy powiększyły, niedługo jego nerwy będą grały jak struny harfy w cudownych arpeggiach przerażenia.

DRUGA ERYNIA Głód wkrótce wypędzi go z kryjówki: poznamy smak jego krwi, zanim jeszcze wieczór zapadnie.

ORESTES Biedna Elektra!

(wchodzi Pedagog)

S c e n a V

PEDAGOG Hej, panie mój, gdzie jesteś? Ciemno choć oko wykol. Przynoszę ci nieco pożywienia: mieszkańcy Argos oblegli świątynię tak szczelnie, że marzyć nie można o jej opuszczeniu. Spróbujemy uciec dziś w nocy. Na razie musisz coś przegryźć. *(Erynie zachodzą mu drogę)* Ha, a to co znowu? Znow jakież zabobony. Jakże tęsknię do mojej słodkiej Attyki, tam przynajmniej mój rozum miał zawsze rację.

ORESTES Nie próbuj się do nich zbliżyć, bo rozedrą cię żywcem.

PEDAGOG Spokojnie, moje złociutkie. Macie, przyjmijcie to mięso i owoce, jeśli jakieś ofiary mogą was jeszcze przebłagać.

ORESTES Mówisz, że lud Argos obłega świątynię?

PEDAGOG Jeszcze jak. Aż nie wiem, kto bardziej zapamiętały i zacięty, czy te panny śliczne, czy twoi umiłowani poddani.

ORESTES Tak. (pauza) Otwórz drzwi.

PEDAGOG Oszalałeś? Przecież oni są za tymi drzwiami, mają broń.

ORESTES Rób, co ci każe.

PEDAGOG Tym razem pozwól nie usłuchać. Zarzuca ciębie kamieniami.

ORESTES Jestem twoim panem, starcze, i rozkazuję ci otworzyć te drzwi!

(Pedagog uchyla drzwi)

PEDAGOG Ajajaj! Ajajaj!

ORESTES Na oścież!

(Pedagog otwiera drzwi i chowa się za nimi. Wpada napierający tłum i zdumiony zatrzymuje się na progu. Jasne światło dnia)

S c e n a VI

KRZYKI W TŁUMIE Na śmierć! Na śmierć! Ukamienować go! Rozedrzeć go! Na śmierć!

ORESTES (nie słyszy okrzyków) Słońce!

TŁUM Świętokradco! Morderco! Rzeźniku! Powiesimy go! Gorącego ołowiu nalejemy do ran!

KOBIETA A ja zjem twoją wątrobę!

ORESTES (wstał) Więc oto przybyliście, o wierni moi poddani! Jam jest Orestes, król wasz, syn Agamemnona, a dzień dzisiejszy jest dniem mojej koronacji. (tłum zafalował zbitą z tropu) Jakoś już nie wznosicie okrzyków. (tłum milczy) Wiem, boicie się mnie! Dokładnie piętnaście lat temu inny morderca stanął tu przed wami w czerwonych rękawiczkach aż do łokci, w rękawiczkach z krwi, lecz on nie był dla was straszny, bo w jego oczach wyczytaliście, że jest podobny wam i nie ma odwagi własnych czynów. Zbrodnia, do której sprawca boi się przyznać, staje się tym samym zbrodnią niczyją, po prostu tragicznym wypadkiem. Uczyniliście zbrodniarza waszym królem, a jego zbrodnia tułała się po ulicach miasta skowcząc głucho, jak pies, który zgubił swego pana. Patrzycie na mnie, mieszkańcy Argos, i widzicie, że tym razem moja zbrodnia jest naprawdę moją zbrodnią. Upominam się o nią głośno, patrząc w słońce, ona jest moją dumą i moją racją istnienia, a wy nie możecie mnie ani ukarać, ani żałować, i dlatego tak się boicie. A jednak, o poddani moi, kocham was i dla was właśnie popełniłem to morderstwo. Dla was. Przyszedłem upomnieć się o moje królestwo, a wyście mnie odtrącili, bo byłem wam obcy. Teraz już nie jestem wam obcy, krew nas związała ze sobą i zasłużyłem na miano waszego króla. Wasze winy i grzechy, i wyrzuty sumienia, i lęk ślepy, co w nocy podchodzi do gardła, i zbrodnia Ajgistosa, wszystko to będzie teraz moje, wszystko to na siebie biorę. Nie bójcie się waszych zmarłych, oni są już moimi zmarłymi. Widzicie, nawet wasze wierne muchy opuściły was i mnie opadły. Ale nie bój się, ludu Argos, ubroczony we krwi moich ofiar, nie zasiądę na ich tronie, bóg mi go proponował — odmówilem. Chcę być królem bez ziemi i bez poddanych. Żegnajcie, ludzie moi, spróbujcie teraz żyć. Wszystko jest tutaj nowe, wszystko do rozpoczęcia na nowo. I dla mnie też życie się zaczyna. Dziwne trochę życie. Jeszcze wam coś powiem na zakończenie: jednego lata kohorty szczurów nawiedziły miasto Skyros. Straszliwa to była zaraza; szczury niszczyły wszystko; mieszkańcy miasta myśleli, że już nie ma dla nich ratunku. Lecz pewnego dnia zawitał do nich nieznany flecista. Stanął w pośrodku miasta — ot tak. (Orestes wstaje) Wydobył flet i zaczął na nim grać, obstąpiły go wszystkie szczury. Wtedy począł on iść wielkimi krokami, ot, tak (schodzi z cokołu) wołając do mieszkańców miasta: „Rozstąpcie się!” (tłum się rozstępuje) I wszystkie szczury podniosły głowy i zawahały się, tak jak teraz

muchy. Patrzcie! Patrzcie na nie! I nagle wszystkie szczury rzuciły się za nim w ślad. I ów muzykant grający na flecie znikł na zawsze razem ze szczurami. Ot, tak!

(wychodzi. Erynie rzucają się za nim wyjąc)

K u r t y n a

Przełożył
Jerzy Lisowski

Nim autorowi zarzucisz brak jasności, obejrzyj wpierw własne wnętrze, czy aby tam dostatecznie jest jasno; w mroku nawet bardzo wyraźne pismo staje się nieczytelne.

GOETHE